EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 lutego 1937 r. Rok IV, Nr. 4 (83)

Treść numeru:

ISTOTA SYTUACJI

Polska żyje w tumanie politycznego zamętu, w lesie tysiąca zagadek i nieporozumień.

Na próżno szukalibyśmy w niej odpowiedzi na pytania najprostsze a dla obywatela najżywotniejsze, najbardziej zasadnicze; na pytania, które mieszkańcom innych krajów nie nastręczyłyby ani cienia wątpliwości. Zapytany, w jakim żyje ustroju, Anglik, Francuz, Szwed lub Holender, bez wahania odpowie, że w demokracji politycznej. Niemniej gotową, choć odmienną na to pytanie odpowiedź znajduje Włoch, Niemiec, Węgier czy Portugalczyk. Nie zawahaliby się z odpowiedzią także i mieszkańcy Uni Sowieckiej, mający w osobie kremlowskiego dyktatora aż nadto wyraźne wcielenie reżimu, który nimi włada. Nawet Hiszpan, którego ojczyznę rozciął i zakrwawił front wojny domowej, zdaje sobie sprawę z sił, które walczą po obu stronach tego frontu. Tymczasem Polak, spytany o ustrój, w którym żyje, o sposób, w jaki układają się stosunki w jego państwie, co mógłby odpowiedzieć? Co samemu sobie na to pytanie odpowiedziałby każdy z nas?

A nade wszystko: czy Polska żyje wciąż jeszcze w okresie pomajowym? Czy też okres ten wraz ze swą ideologią został zamknięty, jak sklep, od którego klucze mają być oddane endekom? Faktem jest, że to, co w latach ubiegłych uchodziło za Czwartą Brygadę, wysunęło się teraz na czoło pochodu, to zaś, co było w sanacji czołem pochodu, zmienia się powoli w rodzaj Czwartej Brygady endectwa.

Wielu w Polsce ludzi, stwierdzając gwałtowne obniżanie się poziomu kultury; obserwując to, co się wyprawia w uniwersytetach, wynaturzonych w antytezę swego powołania; słysząc, co niesie gwar prasy, obficie zasilanej ze źródeł finansjery; wsłuchując się wreszcie w to, co grzmi z ambon kościelnych, tych autentycznych głośników „nowego średniowiecza"; — wielu z nas, powtarzam, dochodzi, nie bez ważkich podstaw, do wniosku, że polskie warstwy posiadające, uległszy wpływom najbliższego Zachodu, szykują się do ofensywy faszystowskiej; że ofensywa ta, być może, już czai się u naszych drzwi.

Obóz t. zw. sanacji urzeczywistnił już nie mało z tego, co kapitał finansowy, przystrojony w pióra patriotyczne, wypisał gdzieindziej na sztandarach czarnych lub brunatnych koszul. W dziele kruszenia i podkopywania demokracji, naprzód politycznej a potym i demokracji wszelkiej, odbył on już pokaź-

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena egzemplarza gr. 50

ną część swej przepisowej drogi. Niemniej wszakże sam on, gdy zadania spełnione porównywa z tym, co zrobił faszyzm innych krajów, przyznać musi, że dał się wyprzedzić nietylko Mussoliniemu, ale i Hitlerowi. A przecież ten ostatni zasiadł w siodle władzy dopiero przed czterema laty! Co więcej: faszyzm sanacyjny, po zgonie twórcy Przewrotu Majowego, musiał się spostrzec, że krocząc nadal drogą dotychczasową; krocząc w tym samym, co dotychczas, składzie grup społecznych, nigdy nie dojdzie do szczytu dyktatury, do mety totalizmu, do stanowiska, które zajęli w swych krajach Mussolini i Hitler.

Dlaczego?

Dla przyczyny bardzo prostej. Marszałek Piłsudski, twórca ruchu sanacyjnego, był jednocześnie najpotężniejszą zaporą na drodze, mogącej ruch ten doprowadzić do pełni rozwoju.

Gdy we wszystkich innych krajach faszyzm występuje, jako rebelia prawicy nacjonalistycznej przeciw konstytucyjnym rządom stronnictw demokratycznych, w Polsce wystąpił on jako mściciel praw demokracji, podeptanych przez prawicę, przez endecję starganych kulami Niewiadomszczyzny. Gdy w innych krajach tryumfalne bramy buduje dlań prawa strona społeczeństwa, do Polski wkroczył on przez furtkę lewicy, wspierany rękami zawodowych związków robotniczych, z entuzjazmem witany przez socjalistów.

Od endecji Piłsudskiego odpychało i odpychać musiało wszystko, co było w nim pierwiastkiem działania. Między nim a „stronnictwem chłopskiej krzywdy i narodowej hańby" legła nietylko krew Narutowicza, nietylko ofiara bojowców i żołnierzy, prowadzonych przezeń na walkę o niepodległość; nietylko własne jego lata Sybiru i Cytadeli, ale całe jego życie tak sprzeczne z zasadą życia endecką, jak wyprawa na Bezdany sprzeczna jest z wyprawą na stragany żydowskie.

Jakkolwiek zwyciężyło po przewrocie majowym to, co zwyciężyć musiało: t. j. nie siły postępowe, które w nim wzięły udział, ale idea reakcyjna, która mu przewodniczyła, to jednak siły te, ich dążenia demokratyczne oraz ich charakter społeczny, nie pozostały bez wpływu na cały okres po-majowy: przynajmniej tak długo, dopóki żył Piłsudski, uosobiona pogarda endecji, nieugięta skała oporu przeciw spłynięciu prądu faszystowsko-sanacyjnego w łożysko „narodowe".

Skłócony z nacjonalizmem obóz sanacyjny był stale ruchem połowicznym, chwiejnym, rozdartym w sobie. Frondującej endecji nie mogła zastąpić najposłuszniejsza konserwa. Dążył on do dyktatury, ale jej nie osiągał. Walczył z Sejmem, ale go nie rujnował. Świadczył usługi ziemianom i przemysłowcom, ale robotnikom nie odbierał prawa strajku. Ograniczał wolność słowa, ale pozostawiał margines dla opozycji.

Sytuacja szybko jęła się zmieniać z chwilą, gdy umarł Marszałek Piłsudski. Ze zgonem jego pękła najpotężniejsza tama przeciw ugodzie z endecją. W szeregach stronnictwa narodowego wyrosła jednocześnie młodzież, która nie żywiła przeciw sanacji urazy osobistej i nie podzielała uprzedzeń, żywionych przez swych ojców. W świadomości młodzieży endeckiej coraz silniej dojrzewa myśl, że sanacja spełniła to, o czym śnili starzy endecy. W świadomości zaś wielu sanatorów toruje sobie drogę praktyczna kalkulacja, że potężną siłę atrakcyjną, jaką na masy wywierał Marszałek Piłsudski, jeśli da się zastąpić czymkolwiek, to chyba atrakcją antysemityzmu, wypróbowaną przez uczniów Romana Dmowskiego.

I oto — podłoże, na którym sanacja, podając dłoń endekom, chce budować wespół z nimi faszyzm: już nie ten jednoręki i połowiczny, ale całkowity, w obie wyposażony pięści: wzorowany na Mussolinim, na Dolfussie, na Hitlerze.

Ta ugoda endecko-sanacyjna jest przewodnim motywem chwili. Ona to stanowi o groźnej istocie sytuacji, której spojrzeć odważnie w oczy jest obowiązkiem każdego Polaka, lokującego ideały w cywilizacji nowoczesnej, nie zaś w ponurym i mrocznym średniowieczu. *A. Grot.*

DWA BIEGUNY

Homo sum: humani nihil a me alienum puto.
Terencjusz, Kartagińczyk.

Rewolucja hitlerowska przeciwstawia krew — formalnemu rozumowi, rasę — racjonalnej, celowej działalności, honor — zyskowi, podporządkowanie się — swawoli zwanej „wolnością", organiczną całość — indywidualistycznemu rozkładowi, gotowość obronną — mieszczańskiemu bezpieczeństwu, politykę — prymatowi gospodarki, państwo — społeczeństwu, naród — jednostce i masie.
Ernst Krieck: „Wychowanie narodowo-polityczne".

Dwa światy — dwie dewizy. Sentencja starożytnego pisarza i credo współczesnego, rasistowskiego ideologa. Kartagińczyk Terencjusz zdobył sobie nieśmiertelność swym serdecznym okrzykiem. Hitlerowiec Krieck nie może liczyć na podobny sukces...

Istotnych korzeni humanizmu trzebaby zapewne szukać wśród pierwszych przebłysków świadomej myśli ludzkiej. Rasizm tkwi swą osnową w ksenofobii, właściwej plemionom pierwotnym. Ale jak pojęcie humanizmu zostało — dzięki pewnym warunkom historyczno-socjalnym — nierozerwalnie związane z epoką Renesansu, tak pojęcie rasizmu — przypuszczać należy — będzie przez przyszłe pokolenia łączone z naszą „erą faszystowską".

Rasizm bowiem stanowi naturalny płód faszyzmu. Jest to pączek, który rozmaicie w różnych krajach rozkwita: całkowicie lub częściowo, wcześniej lub później. Jego istota i ogólne tendencje pozostają jednak wszędzie te same. Zasady rasistowskie zostały włączone in principio do ideologii hitlerowskiej. Ale niedawno Italia faszystowska uznała za stosowne wydać „ustawę o ochronie rasy włoskiej", przewidującą karę do 5 lat ciężkiego więzienia dla Włocha, który ożeniłby się z „kolorową" kobietą! A w Polsce? „Narodowe" brukowce nie wstydzą się czerpać pełnymi garściami z osławionego „Stürmera". Nie tylko sposoby argumentacji i pomysły są zapożyczane z tej rasistowskiej skarbnicy. Organ Streichera dostarcza polskim faszystom gotowych

karykatur i informacyj. Pojawiły się też w Polsce pierwsze próby fałszowania ojczystej historii na podstawie rasistowskich założeń. Wsławił się taką próbą p. Giertych. Działa tu najwyraźniej prawo zarazy psychicznej i pomór rasistowski ciągnie z Zachodu i zaczadza mózgi. Albowiem — jak mówi Pismo — gdy Pan chce kogoś ukarać, odbiera mu najpierw rozum...

Humanizm przechodził najróżniejsze koleje. Jego historia to nieustanne falowanie przypływów i odpływów. W epokach rozkwitu kultury świecił pełnym blaskiem. W czasach zacofania i ciemnoty ginął pod powierzchnią życia, na której utrzymywało się pewne siebie głupstwo. Dziś mówi się o neo-humanizmie. I w jego ideologii zaczyna się dostrzegać jedyne właściwe antidotum na rasizm, faszyzm i nacjonalizm.

Rasizm znalazł swe niewątpliwe apogeum w Trzeciej Rzeszy. Głośny hitlerowski pedagog, p. Krieck, zwalcza rozum, racjonalną, celową działalność, wolność i indywidualizm. To jasne. Natomiast mniej jasne jest przeciwstawienie państwa społeczeństwu, narodu — masie i polityki — gospodarce. Cóż za nieodpowiedzialna frazeologia!

Nie siląc się na definicję humanizmu, można z całą pewnością określić dwa jego atrybuty. Pierwszym jest wiara w człowieka. Drugim — dążenie do rozwoju pełni człowieczeństwa. Oba są zresztą ściśle ze sobą związane. A składają się na ideologię, która — zdawałoby się — powinna stanowić podstawę porozumienia wszystkich ludzi dobrej woli. Zaufania do człowieka i postępu — czyż nie tego potrzebuje epoka, rodząca się z krwawych oparów największej rzezi w dziejach świata?

Nie! — oponują rasiści — wprost przeciwnie: pragniemy pogłębiać ad infinitum wszystko, co dzieli człowieka od człowieka. Pragniemy z różnic naturalnych zrobić sztuczne przeszkody. Na płynnych i względnych granicach etnicznych chcemy wznieść mury nienawiści. Potrzebne nam to dla usprawiedliwienia polityki, której wojna jest tylko „kontynuacją przy użyciu innych środków. Potrzebne nam to również dla utrzymania mas w posłuszeństwie i napięciu. Dlatego propagujemy rasizm".

Rasizm nie ma nic wspólnego z nauką. Nie ciągną za nim legiony uczonych, jakie ciągnęły ongiś za humanizmem. Rasizm nie jest ruchem kulturalnym, nie jest prądem odrodzeńczym. Pogłębia tylko to, co było najgorszego w naszej rzeczywistości. Dlatego też — w swej najwyżej rozwiniętej, niemieckiej odmianie — nie waha się potępiać całkowicie i zasadniczo tej czterowiekowej epoki, która zaczęła się wraz z Renesansem. Rasizm hitlerowski szuka tradycyj w mrokach pragermańskich borów, ale odżegnuje się od tradycyj świattych mistrzów Odrodzenia.

Że rasizm nie znajduje żadnego uzasadnienia w danych antropologii — wiedzą o tym dziś i hitlerowcy. Woleliby wprawdzie, aby było inaczej, ale przechodzą nad tym faktem do porządku dziennego. Jeden z ich teoretyków, K. F. Sturm pisze w swej książce p. t. „Deutsche Erziehung im Werden":

„Zewnętrznymi cechami rasy nordycznej są: wysoki wzrost, włosy blond i oczy niebieskie. Nie są to jednak cechy konieczne. Tworzą one tylko drobną część całego dziedzictwa rasowego. Ciemnowłosy Niemiec może mieć nordyczne właściwości duchowe tak dobrze jak i blondyn. Nordyczną bowiem jest przede wszystkim dusza, która przez swe czyny stwierdza, że należy do tego systemu etycznego, który jest przeciwieństwem eudajmonizmu i stawia na pierwszym miejscu nie szczęście jednostki, ale swój honor, i tego tylko uważa za godnego czci, który służy w niewzruszonej wierności swemu narodowi i swewu wodzowi... Ostatecznie więc poznaje się rasę nordyczną nie po cechach zewnętrznych, ale po sposobie, w jaki człowiek reaguje na określone hasła i podniety".

Rasowość tedy polega według tego szanownego autora po prostu na posłuszeństwie względem wodza i odpowiednio entuzjastycznym stosunku do hitlerowskiej demagogii. To się dopiero nazywa szczerość!

Dla humanisty „nic, co ludzkie, nie jest obce". Dla rasisty wszystko, co obce, jest wrogie. Nie uznaje on żadnych prawd ogólnoludzkich. „Narodowy socjalizm — pisze p. A. Stawarski w „Przeglądzie Współczesnym" — pogardza obiektywną, bezstronną nauką... która pragnie skupić we wspólnym dążeniu do prawdy ludzi wszystkich ras i narodów.. Nauka taka musi bowiem doprowadzić oczywiście do zbratania się poszczególnych ras i narodów i zagłady ducha walki". Tymczasem zaś, według „narodowego socjalizmu", „rasy niższe winny bezwzględnie ulegać rasom wyższym".

„National-Sozialistische Erziehung" zdaje relację z konferencji, zwołanej przez N. S. L. B. (Związek nauczycieli — narodowych socjalistów) w kwestii nauczania historii. Relacja ta kulminuje w zdaniu: „Minęło cztery lata, jak zrozumieliśmy, że nauka historii powinna się opierać na koncepcjach narodowo-socjalistycznych i na danych wiedzy w ich związku z przeznaczeniem narodu niemieckiego". Jeden z mówców na konferencji, niejaki Klagges, wyraził się zresztą jaśniej: „Epoka, która zmierzała do tak zwanego obiektywizmu, minęła. Nie jesteśmy obiektywni, ponieważ jesteśmy Niemcami".

Jak można w końcu określić istotę rasizmu? Jest to mistycyzm najgorszego pokroju, tak płytki i wulgarny, że nie sposób sobie wyobrazić nic nędzniejszego w dziedzinie ducha. Irracjonalizm rasistowski płynie nie z przeświadczenia o niemocy naszego rozumu wobec pewnych zagadnień, jak to miało miejsce u średniowiecznych mistyków katolickich. Wywodzi się on po prostu z przekonania o niemożności pogodzenia wiadomej „ideologii" z całokształtem kultury zachodnio-europejskiej. Mistycyzm średniowieczny był wyrazem tęsknoty do lepszej rzeczywistości. Mistycyzm rasistowski jest przejawem brutalnej żądzy życia „silnych" kosztem „słabszych". Historia zna wielkich mistyków katolickich. Ale tylko ktoś całkowicie pozbawiony poczucia humoru mógłby mówić np. o p. Alfredzie Rosenbergu, że jest... wielkim mistykiem rasistowskim.

Rysują się wyraźnie dwa wielkie fronty, których nieprzezwyciężoną wrogość można ująć w najróżniejsze sformułowania:

Humanizm czy rasizm? Rozsądek czy szaleństwo? Demokracja czy faszyzm? Pokój czy wojna?

Zygmunt Jarosz

SZALEŃCZE METODY

Przed dwoma tygodniami po przemówieniach premiera Bluma w Lionie i min. Edena w izbie gmin, a w przed dzień ostatniego wystąpienia kanclerza Hitlera w Reichstagu w d. 30 stycznia r. b. „Epoka" pisała, iż złudzenia o rzekomym pacyfiźmie Rzeszy, szybko rozwieją się... Ocena położenia była trafna i mowa „Führera" zapowiadająca, że żadnych więcej niespodzianek, żadnych słynnych sobót hitlerowskich nie będzie.. z wyjątkiem zawartych jeszcze w tymże exposé, znalazła wszędzie zgodną ocenę. Minister spraw zagranicznych Francji, Delbos, zaraz nazajutrz odpowiedział Hitlerowi, że nie widzi tematu do rokowań, a brytyjski minister Eden poprostu wyjechał na urlop na Jasny Brzeg francuski, aby podkreślić, że nie zamierza prowadzić rozmówek z przybyłym po mowie do Londynu ambasadorem von Ribbentropem. Berlin wprawdzie wszystkim tłumaczy, że to nie ma znaczenia, bo ambasador Rzeszy może rozmawiać z zastępcą Edena lordem Halifax'em, ale to tłumaczenie jest zgodne ze zwyczajem niemieckim jednostronne. Niestety z tego całkowitego wyjaśnienia położenia, ze stwierdzenia, że III-a Rzesza nie nadaje się na kontrahenta do rozsądnych rokowań o ułożeniu stosunków w Europie, polityka dwóch wielkich mocarstw nie wyciąga dalszych kansekwencji. Powiedzmy raczej: W. Brytania nie wyciąga wniosku, a Francja ich wyciągnąć nie może sama jedna i przeto musi kurczowo trzymać się porozumienia ścisłego z Anglią. Jak dotychczas oba te mocarstwa są zadowolone, że w ten sposób ratują Europę od zawieruchy wojennej. Tak jest istotnie. Ale trzeba spojrzeć dalej.

Wprawdzie z jednej strony nie ma tego, co dyplomacja nazywa „konflagracją powszechną", ale z drugiej strony stwarza się ów wolny czas, w którym można przygotować „awanturę". Wszak właśnie wtedy, gdy pp. Blum i Eden wygłaszali mowy w oczekiwaniu odpowiedzi Hitlera Göring siedział w Italji i prowadził długie a poufne rozmowy z pp. Mussolinim i hr. Ciano. Wyniki tych rozmów w trakcie rokowań o nieinterwencji, kontroli, wstrzymania werbunku i wyjazdu ochotników do Hiszpanii widzimy wyraźnie: do południowej Hiszpanii przybyło 20.000 żołnierzy włoskich w czasie tego gadu - gadu o nieinterwencji. Ta właśnie armia z dodatkiem niemieckich żołnierzy i floty niemieckiej zmusiła siły zbrojne rządu hiszpańskiego do opuszczenia Malagi w dn. 7 lutego, ku wielkiej radości prasy t.zw. narodowej. O tych rzekomych ochotnikach, którzy pełnią służbę dla Hitlera i Mussolini'ego pod rozkazami „łgarza sewilskiego" (tak zwie się potocznie generał Queipo - de Llano), warto zakomunikować parę niedawno ujawnionych szczegółów. Na linie wojsk hiszpańskich w Andaluzji spadł w pierwszych dniach lutego samolot włoski. Lotnik stwierdził, że wysłano go do Sewilli wraz z kolegami dnia 27 grudnia 1936 r. ze Spezji pod pretekstem delegacji do Abisynji, w drodze na parowcu zarówno jego, jak 30 jego towarzyszów wprowadzono w błąd i dopiero przed samym zawinięciem do Sewilli na parowcu, eskortowanym przez pancernik włoski powiedziano im prawdę. Po wylądowaniu dnia 10 stycznia r. b. wypłacono po 1000 peset każdemu z lotników i zaprowadzono ich na lotnisko Tablada, gdzie znaleźli również lotników niemieckich. Do kontaktu między dwiema grupami tych wojskowych nie dopuszczono, a Włochów zużyto natychmiast do pilotowania samolotów włoskich „Savoia" dla dostarczenia żywności i pocisków twierdzy Santa Maria de la Cabeza, oblężonej przez wojska rządowe. W taki to sposób działają na frontach hiszpańskich wojska włoskie. A oto wieść o „ochotnikach niemieckich" podana przez zupełnie bezstronne źródła urzędowe angielskie: do władz jugosłowiańskich na granicy Austrii zgłosiło się w tych dniach 2 żołnierzy niemieckich i stwierdzili, że wraz z grupą kolegów zbiegli z Niemiec do Czechosłowacji, a później do Austrji, chcąc uniknąć przymusowej ekspedycji do Hiszpanii dla walki z legalnym rządem ludu hiszpańskiego.

Czy warto jeszcze te dowody przytaczać i stwierdzać, że Niemcy hitlerowskie i Italia faszystowska, rozzuchwalone do czasu, prowadzą na półwyspie Pirenejskim awanturę na wielką skalę?

Hypnoza i psychoza wywołane przez chwilowe sukcesy dyktatorów jeszcze nie minęły, ale ostatnią fazą tych zjawisk jest t. zw. nieinterwencja w Hiszpanii.

Pod wpływem niezdrowej atmosfery, wytworzonej przez tę hypnozę, zaszedł drobny fakt, o którym wspomnieć należy. Rząd republiki Szwajcarskiej, chcąc przypodobać się możnym tego świata odebrał exequatur konsulowi honorowemu Abisynii w Zurychu, p. Emilowi Buhrle. Cesarz Heile Selassie z wygnania swego nadesłał do Ligi Narodów protest uroczysty, w którym przypomina Szwajcarii, że poszanowaniu prawa międzynarodowego wyłącznie zawdzięcza, iż od 1815 roku uniknęła wojen. Życzę z całego serca — pisze Negus — by Bóg oszczędził narodowi szwajcarskiemu wszelkiej napaści i straszliwych cierpień, jakie przypadły w udziale narodowi abisyńskiemu. Ale pytam, czy istnieje jeszcze prawo i moralność międzynarodowa, jeżeli państwo będące siedzibą Ligi Narodów Szwajcaria popiera cios wymierzony Abisynii przez okrutnego najeźdcę? Pytanie Negusa jest słuszne i uzasadnione. Odpowiedź na nie brzmi przecząco: nie, nie istnieje. Ale dodać trzeba: nie będzie istnieć, dopóki trwają szaleńcze metody dyktatur.

t. r.

Współpracownikami „Epoki" są nie tylko ci, którzy w niej piszą. Są nimi także ci wszyscy, którzy jej idee podzielają; którzy je propagują i rozpowszechniają.

Z DNIA NA DZIEŃ

OBÓZ ANTCZAKÓW

Niech ludzie przytomni, nieobjęci psychozą nienawiści, zastanowią się nad przebiegiem takiej oto krwawej sprawy.

W sali Towarzystwa Śpiewaczego w Łodzi odbywa się odczyt ks. Stanisława Trzeciaka. Sala wypełniona jest młodzieżą „narodową". Z ramienia Stronnictwa Narodowego przybyła na odczyt t. zw. straż porządkowa Koła im. Chrobrego. Komendantem tej straży jest 25-letni Jan Antczak.

Bezpośrednio po odczycie członkowie straży porządkowej wybiegają na ulicę z nożami w rękach i napadają na przechodzących Żydów, zadając im ciężkie rany. Komendant „straży porządkowej" Jan Antczak rzuca się na przechodnia, Szymona Helmera, zadaje mu 5 ciosów nożem fińskim i zabija go na miejscu.

Nazajutrz na posiedzeniu łódzkiej rady miejskiej jeden z radnych piętnuje to morderstwo. Na to zrywa się przywódca endecji łódzkiej, adwokat Kowalski i woła: „Zabito Żyda — to brawo!" i klaszcze rozradowany. A kamrat partyjny adw. Kowalskiego, radny Czernik, dodaje: „Zabito jednego Żyda, to mało"!

Adw. Kowalski i radny Czernik zostali przez prokuratora pociągnięci do odpowiedzialności z art. 154 kodeksu karnego („Kto publicznie nawołuje do popełnienia przestępstwa lub je pochwala, podlega karze więzienia do lat 5-ciu").

W prasie antysemickiej ani jednym słowem nie potępiono morderstwa. Usankcjonowano je milczeniem *tak samo*, jak Kowalski i Czernik radosnymi okrzykami. Tak samo. Ma bowiem słuszność prof. Zygmunt Szymanowski, kiedy pisząc o milczeniu tych, którzy nie potępiają gwałtów, przypomina starą sentencję: „Qui tacet — consentire videtur" (kto milczy, ten się zgadza).

Tak jest. Na gwałty, na morderstwa, zgadzają się te wszystkie pisma endeckie, które pod adresem swoich bojówek nie napiszą choćby tylko: „Nie zabijaj"!

Morderca, Jan Antczak, nie został w prasie endeckiej ani jednym słowem potępiony. Od krwiożerczych okrzyków Kowalskiego i Czernika nie odgrodziło się ani jedno pismo endeckie. Godzą się, solidaryzują się z tymi okrzykami. Spadli na poziom Antczaków. Zrównali się z mętami społecznymi. Są siewcami zbrodni i anarchii.

Niech tedy ludzie przytomni, politycznie odpowiedzialni, z ludzkich uczuć nie wyzuci, zastanowią się, w jaką otchłań barbarii pchnąćby chciał Polskę obóz Antczaków.

KTO DŁUŻEJ?

Ogłoszono dekret kanclerza Rzeszy Niemieckiej, zakazujący przyjmowania nagrody Nobla przez obywateli niemieckich. Dekret ten brzmi:

„Dla uniemożliwienia raz na zawsze gorszących precedensów stwarzam z dniem dzisiejszym niemiecką nagrodę narodową w dziedzinie sztuki i kultury w wysokości 100.000 marek. Nagroda ta przyznawana będzie corocznie trzem zasłużonym Niemcom. Przyjmowanie nagrody Nobla przez obywateli Rzeszy zostaje zakazane raz na zawsze".

„Precedensem gorszącym" było przyznanie nagrody Nobla Karolowi Ossietzky'emu za zasługi dla sprawy międzynarodowego pokoju.

Statut Fundacji Nobla jest również wieczysty i zmianie ulegać nie może. Jakież tedy będzie wyjście? Dekret wieczysty i statut wieczysty!

Prawdopodobnie Fundacja Nobla przeczeka okres działania zakazu, wydanego „raz na zawsze". Sporo jest takich spraw na świecie, które wymagają cierpliwości.

„OŚWIADCZAM PROROCZO"...

Kanclerz Hitler rzekł w ostatniej mowie:

„Najbardziej rewolucyjnym momentem narodowego socjalizmu jest to, że otworzył on oczy zrozumieniu, iż wszystkie błędy i omyłki ludzkie są ograniczone w czasie i dadzą się naprawić z wyjątkiem jednego błędu — w sprawie zachowania czystości swej krwi i danej narodowi przez Boga postaci w danym mu przez Boga istnieniu. My ludzie, nie możemy o tym rozsądzać, dlaczego Opatrzność stworzyła rasy, lecz wyłącznie uznać, że karze ona tego, który lekceważy ich stworzenie. Oświadczam to proroczo, że podobnie jak odkrycie, że ziemia obraca się koło słońca, doprowadziło do przewrotu w zapatrywaniach na całokształt zagadnień, tak narodowo-socjalistyczna nauka o krwi i rasie doprowadzi do przewrotu poznania i do odmiernego przedstawienia obrazu historii ludzkości".

O tej wizji proroczej pisze *Czas:*

„Trudno, oczywiście, pogodzić się z próbą przypisywania Bogu autorstwa doktryny rasowej i niełatwo uznać paralelizm duchowy wiekopomnego odkrycia Kopernika z powstaniem narodowego socjalizmu".

Rzeczywiście, trudno i niełatwo.. Podzielamy ten łagodnie uśmiechnięty sceptycyzm...

„DZIELNY CHŁOPIEC"

W blokadzie Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego brał, między innymi, udział uczeń szkoły średniej, Stanisław Łyczakowski, mieszkający w Milanówku. Został za to wydalony ze szkoły bez prawa wstąpienia do szkół innych. Grono mieszkańców Milanówka zainicjowało zbieranie funduszów na kształcenie Łyczakowskiego za granicą. W *Warszawskim Dzienniku Narodowym* zamieszczono list niejakiego inż. K. Szymańskiego, który deklaruje na ten cel 10 zł miesięcznie, aby „przyjść z pomocą dzielnemu chłopcu".

Od siebie dodaje *Warszawski Dziennik Narodowy:* „List ten publikujemy z prawdziwą radością i w nadziei, że nie minie on bez echa"...

Nowy bohater: Stanisław Łyczakowski. „Dzielny chłopiec". Dzielny, bo brał udział w awanturze, w zahamowaniu pracy naukowej w wyższej uczelni, w budowaniu barykad w uniwersytecie. Trzeba mu koniecznie pomóc. Żaden ubogi młodzieniec w Polsce nie zasługuje na takie poparcie, jak ten dzielny chłopiec. Niechże się kształci za granicą. Niech za udział w blokadzie wolny będzie od trosk materialnych. Niech wie, że uczynił dobrze, że ma poparcie ze strony wdzięcznego społeczeństwa. I niech inni uczniowie szkół średnich wiedzą, że jeśli pogwałcą prawo, zakłócą spokój i porządek w wyższej uczelni, a spotka ich za to kara ze strony władz szkolnych, mogą liczyć na pomoc całego obozu politycznego, który ma inne pojęcie o prawie, o ładzie społecznym, o godności instytucji naukowej, o roli nowego pokolenia „dzielnych chłopców". Niech się kochany Staś Łyczakowski nie martwi. Zdobył rozgłos, otrzyma pieniądze, został „zaszczytnie" wyróżniony. Teraz wielu, wielu takich Stasiów będzie mu zazdrościło. I będzie rozmyślało, jak, kiedy, w jakich okolicznościach pójść w ślady tego „dzielnego chłopca"...

NATURALNIE — W CUDZYSŁOWIE

Syndykat Dziennikarzy Polskich w Nowym Jorku zwrócił się do biura nowojorskiego P. A. T. z prośbą o opublikowanie w prasie polskiej odezwy do młodzieży polskiej.

W odezwie tej czytamy:

„Zwracamy się do młodzieży polskiej — brzmi odezwa — z tym apelem, jako starsi bracia, mieszkający za granicą, a przeto widzący dokładniej, niż wy możecie widzieć wielkie i trudne do naprawienia szkody, które wyrządzają naszej reputacji narodowej i interesom na-

szego kraju w Ameryce niepolskie, obce duchowi naszemu i naszym tradycjom kulturalnym ekscesy rasowe, których od dłuższego czasu widownią są nasze wyższe szkoły. Ci, którzy to robią niszczą nie tylko dorobek kulturalny, nie tylko utrudniają swobodny rozwój w Polsce, ale poniżają równocześnie nasze dobre imię na emigracji, przysparzając nam wrogów i upokarzając nas w oczach tych, z którymi współpracujemy.

W tych poważnych dla Polski chwilach wobec chaosu politycznego w Europie cały Naród winien zjednoczyć siły nie tylko przed napaścią wroga, ale też przed groźniejszą często od niej propagandą. Metody narodowo-socjalistyczne również są obce duchowi i tradycji polskiej, jak obce i wrogie są metody komunizmu. Niechaj w Polsce nie rządzi pałka".

Wspomniawszy o prześladowaniach Polaków w innych krajach, odezwa mówi:

„Przeżyliśmy wiele prześladowań i w tej szkole uczyliśmy się wiary w sprawiedliwość dziejową. Poznaliśmy wartość przyjaźni i sympatii świata, którą obecnie marnotrawi się przez prześladowania innych. Apelujemy do was — młodzieży polska, abyście, kierując się raczej miłością Polski, niż nienawiścią do innych, nie utrudniali rządowi pracy nad rozwiązaniem żywotnych zagadnień. Oczy całego świata śledzą was. Opinia świata nie tylko was ale i nas sądzi.

Dzisiaj, w dniu imienin Dostojnego Gospodarza Polski, gdy oczy nasze zwrócone są z czcią i miłością ku Ojczyźnie, pragnęlibyśmy oglądać naród karny i posłuszny Rządowi oraz wskazaniom swych wodzów, a widzimy obraz, napawający nas smutkiem i trwogą. Idźcie przeto za głosem waszych polskich serc i zdrowego polskiego rozumu".

O odezwie powyższej pisze *Warszawski Dziennik Narodowy:* „Niesłychane wystąpienie „polskich" dziennikarzy".

„Polskich" — w cudzysłowie... Naturalnie. Skoro wystąpili przeciw burdom endeckim, nie mogą być Polakami. Skoro nawołują, by w Polsce nie rządziła pałka, muszą być od polskości odsądzeni. Skoro przemawiają do „polskich serc i zdrowego polskiego rozumu" i nie godzą się z metodami Kowalskich, Czerników i Antczaków, to znaczy, że tę odezwę — jak pisze *Warsz. Dz. Nar.* — „prawdopodobnie układali Żydzi".

Dziennikarze polscy w Nowym Yorku przekonali się tedy, że przemawianie do serc i rozumów może mieć sens tylko wówczas, kiedy się ma do czynienia z sercami i rozumami. Pałkarze sami pałk z rąk nie wypuszczą pod wpływem argumentów serca i rozumu. Mogą tylko ordynarnie nawymyślać tym, którzy się do nich zwracają po ludzku. I nie uznać ich polskości, tak jak polskości odmawiają dziś całej kulturalnej i demokratycznej Polsce.

UCHWAŁY KONGRESU P. P. S.

Na odbytym w Radomiu XXIV-tym Kongresie Polskiej Partii Socjalistycznej powzięto szereg uchwał, które określają postawę socjalizmu polskiego wobec aktualnych zagadnień politycznych.

Obszerne uchwały Kongresu dają się streścić w punktach następujących:

Walka z faszyzmem. Żadne rachuby i nadzieje na możliwość współpracy demokracyj z którymkolwiek z prądów faszystowskich, choćby w imię rzekomego zachowania pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego, nie mogą i nie powinny krępować w niczym stanowczości wystąpień przeciw faszyzmowi. Faszyzm międzynarodowy, ufny w swoją bezkarność, liczący na brak stanowczych decyzyj ze strony swoich przeciwników, przygotowuje z całą konsekwencją atak na kraje, które umiały ocalić swobody demokratyczne i poczucie godności człowieka.

Jeszcze nigdy reakcja społeczno-polityczna w Polsce nie przybierała — pod wodzą obozu „narodowego" — takich rozmiarów i nie używała tak prowokacyjnych form działania, jak obecnie. W czasach niewoli dawna narodowa demokracja była forpocztą reakcji rosyjskiej; obecnie spełnia tę samą rolę, jako naśladowca i wierny sojusznik faszyzmu międzynarodowego. Poza hasłami antysemityzmu, poza hasłami — dosłownie —pogromów, obliczonymi na oszukanie najciemniejszych, kryją się inne dążenia istotne — do zgnębienia wszelakiego postępu i wszelkiej demokracji, do zgnębienia przede wszystkim socjalizmu i P. P. S.

O wybory demokratyczne. P. P. S., wysuwając hasło walki z faszyzmem „narodowym" i z dyktaturą, domaga się niezwłocznego rozwiązania Sejmu i Senatu, oraz rozpisania czystych i naprawdę demokratycznych wyborów.

Kongres, stojąc na stanowisku frontu chłopsko-robotniczego z udziałem P. P. S. i Stronnictwa Ludowego, poleca C. K. W. umacnianie tego współdziałania mas chłopsko-robotniczych przede wszystkim w akcji za rozwiązaniem Sejmu i nowymi wyborami.

Stosunek do Kominternu. Kongres stwierdza słuszność powziętej już poprzednio decyzji, odrzucającej możliwość współpracy P. P. S. z partią komunistyczną. Hasło komunistyczne „jednolitego frontu" wszędzie, tylko nie w Rosji, współpraca z socjalistami wszędzie, a w Rosji prześladowania, więzienia i zbiorowy mord, dokonywany na socjalistach i opozycji komunistycznej, musi być traktowane, jako frazes, za którym kryje się zamiar rozsadzenia ruchu robotniczego i socjalistycznego, osłabienia go w nadziei, że wówczas podda się komendzie komunistycznej

Obrona niepodległości. Uznaje w całej pełni niebezpieczeństwo grożących światu konfliktów zbrojnych, a także możliwości wciągania przez faszyzm armii do walk wewnętrznych, P. P. S. stojąc, jak zawsze stała, na stanowisku obrony niepodległości, oświadcza, że w wytworzonych obecnie warunkach olbrzymich zbrojeń i przygotowań militarnych, spowodowanych przez państwa faszystowskie, a w pierwszym rzędzie przez zbrojenia Niemiec hitlerowskich, jako zagrażających bezpośrednio Polsce, jej całości i niepodległości, Polska powinna prowadzić zdecydowaną politykę bezpieczeństwa zbiorowego i sojuszów obronnych wspólnie z krajami demokratycznymi Europy, a więc powinna tym bardziej wejść sama na drogę przebudowy społecznej, gospodarki planowej i wolności politycznej. Są to warunki, które umożliwiają prawdziwą obronę kraju.

W uchwałach dwóch kongresów: Stronnictwa Ludowego i Polskiej Partii Socjalistycznej postulaty Polski demokratycznej znalazły pełny i dobitny wyraz.

Uchwały Stronnictwa Ludowego i P. P. S. uzupełniają się wzajemnie i dobrze określają podstawy frontu demokratycznego.

WYMOWA TYCH CYFR...

Według danych statystycznych Komitetu do walki z kryzysem przy Lidze Narodów w roku 1936 zmarło z głodu 2 miliony 400 tysięcy ludzi, a 1 milion 200 tysięcy odebrało sobie życie z nędzy, co czyni 3 miliony 600 tysięcy ofiar.

W ciągu r. 1936 zniszczono na świecie produktów dla utrzymania cen rynkowych: cukru 2.500 tys. kg., zboża 568 tys. wagonów, ryżu 114 tys. wagonów, kawy 267 tys. wagonów, konserw mięsnych 600 tys. centnarów i t. d. Ogółem zniszczono 8 i pół miliarda kg. artykułów spożywczych. Licząc, że człowiek spożywa rocznie 980 kg. powyższych produktów, wystarczyłoby artykułów zniszczonych w ciągu jednego roku na utrzymanie 3 miljonów 600 tys. ludzi w ciągu trzech lat.

INKWIZYCJA MOSKIEWSKA

Moskiewskie rozprawy sądowe wywołują w całym świecie duchowej i umysłowej kultury wstrząsające wrażenie swoją niesamowitą treścią, zaczerpniętą niejako z ponurych praktyk i doświadczeń inkwizycji średniowiecznej.

Salwa karabinowa, jako zakończenie długich tortur moralnych. stała się w Moskwie uświęconym środkiem dławienia wszelkiej rzeczywistej czy urojonej opozycji. Władza kremlowska, zamierzająca najwidoczniej wytracić do ostatniego z dotychczasowych notablów rewolucji bolszewickiej, stosuje bezwzględne okrucieństwo.

Obecnie jeszcze byłoby rzeczą daremną roztrząsać pytanie: w imię jakiego planu stosuje Stalin tyrańską procedurę? Również przedwczesne byłyby wszelkie próby zgłębiania tajemniczych źródeł tych wielkich tragedii sądowych.

Nie mniejszą zagadkę stanowi psychologia oskarżonych we wszystkich dotychczasowych procesach sowieckich. Autorytet moralny dawnego rewolucjonisty w carskiej Rosji wypływał z nieugiętości charakteru, z dumy życiowej i dumy walki, z nieustraszonej pogardy dla ciemięzców, której dawano wyraz w niezliczonych publicznych rozprawach sądowych. Od dekabrystów poprzez narodowolców aż do samego upadku caratu, rewolucjonista idący na szafot oddawał pozostającym pochodnię wiary w zwycięstwo, a swą wielką siłę moralną czerpał nie tylko z głębi swej własnej duszy, ale także z nieprzeniknionych źródeł wspólnoty duchowej, która wytwarza się wśród zastępów ludzi tej samej idei. Każdy z nich, co niejako w sposób mistyczny pojmował obowiązek walki o wolność, wiedział, że musi spełnić ofiarę i miał prawo z indywidualnego wypadku tej nadludzkiej ofiary czynić zdarzenie historyczne o niewątpliwym znaczeniu powszechnym.

Z tysięcy skazańców, każdy z nich od Pestela i Bestużewa, Żelabowa i Kibalczyca do Kalajewa i Bogrowa wiedział, że najdrobniejsze załamanie się, że najsłabsze ustępstwo na rzecz własnego instynktu życia nie tylko wypali piętno hańby na jego obliczu, ale także może ponurym cieniem przesłonić wspólną sprawę. Gardzili wyraźnie i publicznie swoimi katowskimi sędziami, zwłaszcza, kiedy ci wydobyć usiłowali zeznania, mogące obciążyć innych.

Bogrow, któremu już po wyroku skazującym na śmierć poręczono uroczyście darowanie życia za cenę *wydania wspólników*, ironicznie odparł: „Życie? Co to jest życie? dla mnie jest to tysiąc więcej lub mniej zjedzonych kotletów. Piszcie, że nie miałem żadnych wspólników!" I zginął na szubienicy.

W moskiewskich „procesach czarownic" przeciwnie zdumiewać musi ta łatwość, z jaką oskarżeni, starzy przecież, wypróbowani rewolucjoniści denuncjują jeden przez drugiego dziesiątki swoich prawdziwych czy rzekomych wspólników, a wprost w osłupienie wprawiać musi ta gotowość, z jaką ci ludzie, bijąc się w piersi, korzą się wobec tych, co czyhają na ich życie i jednocześnie śmierć moralną.

Piatakow np., b. komisarz przemysłu i handlu, podobno jeden z najbardziej ideowych, mocnych i czystych ludzi spełnił w obliczu swych katów potworną ekspiację: „stoję przed wami w błocie moich przestępstw, lecz pragnę, byście uwierzyli, że zerwałem z brudną przeszłością".

To wyznanie i wszystkie inne, nie nagle przecież poczynione, w ekstazie i krzyku rozpaczy, lecz z spokojnym namysłem, w stanie pozornie pełnej samowiedzy, — są tak wstrząsające i tyle w nich wyrazu upodlenia człowieka, że zdumiony świat gorączkowo szuka wytłumaczenia tego upiornego widowiska.

Nikt nie chce dać wiary, że jest to dobrowolne stoczenie się w błoto, jedni więc próbują objaśnić wyzuwanie tych ludzi z wszelkich wartości moralnych teroryzmem wyszkolonych w tym kierunku i wytresowanych oprawców z G. P. U., inni widzieć tu pragną działanie szczególnej hypnozy, metodycznie i naukowo stosowanej, inni zaś jeszcze upatrują tutaj fantastyczne działanie jakiejś bliżej nieokreślonej trucizny, paraliżującej wolę ludzką, a wypróbowanej po raz pierwszy przez Niemców na osobie van Lubego w procesie o podpalenie Reichstagu.

Szczucie prasy i ulicy przeciwko ludziom, idącym na śmierć, — nie mieści się w humanitarnych pojęciach żywiołów wolności. Oklaski, którymi publiczność przyjmuje wyroki śmierci w salach trybunału, są świadectwem skrajnego zbrutalizowania obyczajowości, tym osobliwszego tutaj, że wysokie poczucie moralne i kultura uczuć powinny być skutkiem wychowania nowego człowieka, żyjącego na nowym, rzekomo wyższym poziomie duchowym.

Jakież więc można mieć wyobrażenie o tej nowej treści wychowania moralno-społecznego, skoro w godzinie dysponowania na śmierć skazańców tworzy się pośpiesznie surogat woli mas i spędza się wielotysięczne ogłupione tłumy, ażeby w okrzykach, dyszących złością i zemstą, domagały się pod Kremlem odrzucenia łaski dla ludzi, którzy nb. tak niedawno jeszcze byli uwielbiani przez ten sam tłum i na rękach noszeni.

Jakiej złowieszczej wymowy nabiera ten objaw i jak mrocznym wydać się musi powyższy obraz, skoro uprzytomnimy sobie, że na progu naszego stulecia udawali się do cara w Pałacu Zimowym w tym samym celu i z tym samym żądaniem odmówienia łaski politycznym skazańcom najbardziej ponure postaci najczarniejszej reakcji rosyjskiej: Hurko, Trepow, Pobiedonoscew, Plewe.

Czyż mogli przypuszczać, że przez ironię dziejów na gruzach caratu, zaledwie w trzydzieści lat po tym wyręczać ich będą ci, co na sztandarze swej walki wypisali hasła zniesienia kary śmierci i skruszenia władzy krwawych tyranów. *H. L.*

„Epoka" jest pismem, stanowiącym własność jej abonentów. Na tym zasadza się jej niezależność.

ALEKSANDER PUSZKIN

(1799 — 1837)

W pierwszych dniach lutego r. b. cała Rosja, sowiecka i emigrancka, święciła uroczyście setną rocznicę śmierci wielkiego poety, istotnego twórcy nowoczesnej literatury rosyjskiej — Aleksandra Puszkina. Bolszewicy czczą w nim piewcę wolności i rewolucji, zaciekłego wroga caratu, autora „ody do sztyletu", — emigranci, uważając wolnościowy okres twórczości Puszkina za przejściowy ferment młodości, widzą w nim, już jako dojrzałym twórcy, najwybitniejszego nacjonalistę i imperjalistę, dumnie wskazującego na potęgę mocarstwową swej ojczyzny i grożącego liberalnej Europie „stalową szczeciną" bagnetów rosyjskich. I jedni i drudzy mają słuszność...

Jak wszyscy wybitni Rosjanie epoki mikołajowskiej (Gribojedow, Lermontow, Gogol, Czaadajew, Rylejew i t. d.) — Puszkin urodził się i wychował w środowisku zamożnej szlachty i w dzieciństwie już przesiąkł do szpiku kości wszystkimi wierzeniami oraz przesądami swej kasty. Carosławie — było tu głównym artykułem wiary. Życie płynęło beztrosko i wesoło: hulanki, pijatyka, karty, polowanie (czasami na zwierzynę, czasem, gdy jej zabrakło, na pańszczyźnianego chłopa) — stanowiły zasadniczą treść bytowania. Francuczczyzna panowała powszechnie: Czaadajew, jeden z najwybitniejszych myślicieli, do końca życia nie nauczył się pisać poprawnie w rodowitym języku, sam Puszkin lepiej mówił w dzieciństwie po francusku, niż po rosyjsku. Wysługiwanie się władzom i władcy — stanowiło naczelny kanon postępowania: ten, na którego spłynęła łaska monarchy, wznosił się na niedościgłe dla innych śmiertelników wyżyny — zmarszczenie brwi cara pogrążało nieszczęśnika w otchłań hańby i pogardy. A jednocześnie, dzięki znajomości francuczczyzny przede wszystkim, pełną falą wpływały nowoczesne idee europejskie. I w ten sposób formował się charakter ówczesnego inteligenta rosyjskiego. Było tam wszystko: dźwięki „Boże caria chrani" pomieszane ze zwrotkami Marsylianki, cześć dla Robespierre'a i Marata obok wiary w skuteczność knuta, który jedynie utrzymać może w ryzie gnijący w poddaństwie motłoch chłopski. Niewolnicza Azja i rwąca się do wolności Europa spłynęły jak dwa strumienie w jedną rzekę i tak powstał ten twór przedziwny, jakim była dusza rosyjska z pierwszej połowy XIX wieku.

W Puszkinie ta dwoistość przejawia się w całej swej mocy...

*
* *

Jako artysta — stoi on na wyżynie dostępnej tylko dla wybrańców: siła, wdzięk, płynność i gibkość wiersza, bogactwo twórczej wyobraźni wprost nieprzebrane, zdolności widzenia najtajniejszych sprężyn duszy ludzkiej i plastycznego ich odtworzenia w słowie prostym a niezawodnym, bez niepotrzebnej dłubaniny psychologicznej, lotność fantazji nigdy nie uciekającej w zaświaty, jeno lekko a z wdziękiem przebiegającej po rozłogach ziemi — to są naczelne cechy jego twórczości. Nie jest on w ścisłym tego słowa znaczeniu realistą: wszystkie odtworzone przezeń postacie uderzają prawdą swych rysów, lecz od wewnątrz prześwietla je promień żywej, mieniącej się światłem poezji, świadcząc, że istotą bytu, pomimo jego form często ułomnych, jest piękno.

Jeśli uniwersalizm, jak chcą niektórzy, jest zasadniczą cechą gieniuszu, nie brak było gienialności Puszkinowi. Z jednakim mistrzostwem tworzy on postacie petersburskiego światowca — Oniegina i pokornego mnicha — Pinana, — kobiety — wampira, Kleopatry, i skromnej panienki z szlacheckiego dworku — Tatjany. Przykłady takie mnożyć by można bez końca. Zadziwia zwłaszcza jego zdolność przenikania dusz ludzkich różnych epok i narodowości. Wielki Goethe, który strawił żywot na studiowaniu kultury starożytnej, nie zdołał swej Ifigenii uczynić greczynką: pozostała niemką, uczuciową, zaciekającą się nad swymi sprawami sercowymi, niemką z epoki romantyczno - sentymentalnej, rodzoną siostrą Małgosi i Klarci. Puszkin — kilku genialnymi rzutami umie przenieść nas do Hiszpanii XV wieku („Gość kamienny"), współczesnej Anglii („Uczta w czasie dżumy"), głębokiego średniowiecza („Skąpy rycerz") lub ginącej w orgiastycznej rozpuście starożytności („Noce egipskie"). Wszechstronność twórczych możliwości, giętkość wyobraźni — są tu istotnie zadziwiające: ani jednym rysem nie zdradza autor swej rosyjskości, — jest pokolei Rzymianinem z epoki upadku i t. d. Miał, coprawda, ułatwioną drogę w porównaniu ze swymi wielkimi współzawodnikami z zachodu: gdy oni rodzili się z dziedzictwem wielowiekowej historii, kształtującej ich jaźń w pewne, trudne do rozbicia formy, on był genialnym nowicjuszem kultury, obdarzonym wszechstronną wrażliwością, właściwą typom tego rodzaju.

*
* *

Tej tak zharmonizowanej, tak bogatej naturze poetyckiej ciasno było w więziennej klatce rosyjskiej. Urodził się za Pawła, pierwsze kroki jako poeta stawiał w drugiej, nawskroś reakcyjnej, epoce panowania Aleksandra I, rozwinął się i dojrzał pod żelazną łapą Mikołaja: gdzież tu miejsce na rozkwit indywidualności, której treścią było ukochanie radości, istnienia, swobodny lot na motylich skrzydłach nad zalanymi słońcem łąkami bytu... Chwila historyczna prosiła się o Juwenala lub Byrona, — narodził się — Mozart. Nie brakło Puszkinowi zapędu i temperamentu bojowego, lecz natura odmówiła mu niezłomności i hartu, bez których nie masz istotnego zapaśnika. Więc rzucał się ten „ateńczyk śród Scytów", jak go nazwał uwielbiający Prosper Merimée, i, nie mogąc wyrwać się z obieży, zaplątywał się w niej coraz mocniej, coraz bardziej. A gdy wreszcie powaliła go w pojedynku kula jakiegoś głuptasa salonowego, narzędzia intrygi, w której i dwór maczał ręce, wdzięczny owemu wielkiemu poecie monarcha podpisał wyrok, skazujący zmarłego na powieszenie. Tak wypłaciła się urzędowa Rosja temu, co podniósł jej literaturę na europejskie wyżyny, wyrywając ją z marazmu naśladownictwa i wskazując drogi oryginalnej, prawdziwie narodowej twórczości...

Największy atoli wróg krył się w głębi własnego serca poety. Puszkin nie chciał, nie śmiał uwierzyć, że cała historia Rosji jest krwawym głupstwem, potwornym splotem zbrodni i obłędu. Pragnął przekonać samego siebie, że „jest metoda w tym szaleństwie", że z ziemi, oranej żelaznym pługiem przez Groźnego i Piotra, wyrośnie kiedyś wielkość, która zadziwi świat. I w chwili obudzonej wiary dumnym był, że urodził się w Rosji i gotów był przyjąć pełną za jej okropną historię odpowiedzialność. To znów ogarniało go zwątpienie i wołał: „Po kiego diabła urodziłem się w Rosji?" Ta rozterka prowadziła czasem poetę do wrót obłędu. „O nie daj mi oszaleć, — raczej włóż w rękę kij i wór żebraczy!" — pisał wówczas i zamykał się w obrębie czysto artystycznej twórczości lub rozpraszał ducha w marnych błahostkach światowych.

Zagadnienie, którego nie rozwiązał Puszkin, odziedziczyli po nim jego następcy. Stanowi ono jawny lub ukryty patos twórczości Lermontowa, Gogola, Turgeniewa, Tołstoja, Dostojewskiego. Zwłaszcza Dostojewskiego. Pomimo ich wysiłków atoli pozostało ono dotychczas zagadnieniem. I dziś, jak przed stu laty, stoimy przed sfinksem Rosji, nie mogąc z jego tajemniczych oczu wyczytać, co się w nim kryje: ostateczna zguba czy odrodzenie świata.

Dr. Tadeusz Stępniewski.

HELENA ORSZA-RADLIŃSKA

(W 40-lecie pracy społecznej)

Helena Orsza-Radlińska należy do tego świetnego pocztu pisarzy, pracowników naukowych, działaczy oświatowych, społecznych i bojowników niepodległości, którzy na progu naszego stulecia zmagali się z obcą przemocą we wszystkich dziedzinach życia polskiego, z zacofaniem, ciemnotą, uciskiem i rusyfikacją.

Urodzona w Warszawie w 1879 r., Helena Radlińska od wczesnej młodości przebywała w otoczeniu ludzi czynnych, żywych, intelektualnie przodujących, oddanych ideowej robocie w podziemiach konspiracyjnych, dojrzała więc pod wpływem ówczesnych dążeń, pragnień, buntu i porywów walczącego pokolenia.

Poświęciwszy się w 1897 r. pracy pedagogicznej, Helena Radlińska udziela lekcji w średnich szkołach prywatnych, ale jednocześnie też uczy w tajnych kołach nauczycielskich. Próbuje również swych sił na polu pracy popularyzatorskiej z zakresu historii i krytyki literackiej. W tym czasie, mając zaledwie lat 18, wydaje pod pseudonimem H. Orszy pierwszą, głośną naówczas broszurę ludową p. t. „Kto to był Mickiewicz?"

W 1904 r. Helena Radlińska jest jedną z organizatorek bojkotu rosyjskiej szkoły, zaś w 1905 r. należy do czynnych przywódców strajku szkolnego. Swoją działalność w organizacji bojowej P. P. S., Helena Radlińska przypłaciła wraz ze swoim mężem zesłaniem na Syberię do Narymskiego kraju, skąd zdołała zbiec, i po przejściu granicy osiadła w Krakowie. Tu naprzód oddała się studiom historycznym na Wszechnicy Jagiellońskiej, pełniąc jednocześnie służbę społeczną w Uniwersytecie Ludowym im. Mickiewicza. Zainicjowała tutaj kształcenie na wyższym poziomie pracowników społecznych, założywszy pierwsze w Polsce seminarium oświatowe, które przyciągało przede wszystkim młodzież akademicką. Od 1913 r. brała udział w pracach przygotowawczych do walki zbrojnej. Służba w Legionach od lipca 1914 r. przerwała jej działalność naukową i pedagogiczną, jednakże w przerwach roboty wojskowej prowadziła wykłady i pomagała K. J. Praussowi w pracach Biura Szkolnego i przygotowywała normy programowe dla szkolnictwa polskiego w całym kraju.

Po odzyskaniu niepodległości, Helena Radlińska przejściowo pracowała w Ministerstwie Oświecenia, a potem już niepodzielnie poświęciła się pracy pisarskiej i pedagogicznej, wykładając naprzód na kursach im. Miłkowskiego, w Instytucie Oświaty i Kultury im. Staszica, oraz na kursach metodycznych dla nauczycieli, później zaś w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Początkowo jako lektorka na Wydziale Pedagogicznym, potem jako profesor i kierowniczka seminarium oświaty pozaszkolnej, Helena Radlińska rozwija bardzo szeroką działalność pedagogiczną i naukową, należąc jednocześnie do wielu instytucyj w kraju i zagranicą, między innymi do Wydziału Wykonawczego Kongresu Wychowania Moralnego. Jako przewodnicząca federacji zrzeszeń pedagogicznych polskich bierze udział w pracach Międzynarodowej Ligi Nowego Wychowania.

Nie sposób jest w krótkim artykule okolicznościowym oświetlić wyczerpująco dorobek trudu życiowego Heleny Radlińskiej, ani tymbardziej omówić lub bodaj wymienić tytułów jej licznych publikacyj naukowych z zakresu wychowania, pedagogiki społecznej i bibliotekarstwa. Obraz Jej poważnej i twórczej pracy odtworzony niewątpliwie będzie w specjalnym wydawnictwie jubileuszowym.

Naszkicowawszy tutaj zaledwie w najogólniejszych zarysach sylwetkę tej wybitnej postaci, pragnęliśmy jedynie dać w ten sposób skromny wyraz uznania dla Jej niespożytych zasług zarówno oświatowych, jak i obywatelskich.

Za to, że całą duszą stała zawsze po stronie uciśnionych, krzywdzonych i poniewieranych, za to, że wychowała pokolenia dzielnych i uzbrojonych naukowo pracowników, za to również, że nie godziła się z przemocą, a własną dłonią szarpała jarzmo niewoli, za hart i nieugiętość ducha, i za to wreszcie, że nie sprzeniewierzyła się nigdy szlachetnym ideałom młodości — ślemy Jej dziś w 40-lecie pracy jedno tylko słowo: Cześć! *H. L.*

Potępiać demokrację? To — rzecz przedwczesna: aby móc sądzić o niej, poczekajmy, aż dojrzeje i wyda owoce.

To, co widzieliśmy dotychczas, to — nie była pełnia demokracji. To — był tylko jej ułamek; to była demokracja mieszczańska; demokracja ludzi, mających pieniądze. Były to dopiero pierwociny demokracji.

Rozumiemy faszystów, którzy na pierwociny te uderzyli, aby je zgnieść w zarodku. Ale jak zrozumieć pewne grupy ludzi ubogich i wyzyskiwanych, którzy wszystkiego spodziewać się mogą jedynie od dalszych postępów demokracji, a gotowi są — mimo to — zaciągać się pod znaki jej wrogów?

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

DORODNE OWOCE

Z uzasadnioną niecierpliwością oczekiwali liczni zwolennicy krzepkiego talentu Poli Gojawiczyńskiej dalszego ciągu dziejów jej, uwieńczonych nagrodą m. Warszawy, „Dziewcząt z Nowolipek". Pierwszy tom tego dalszego ciągu, powieści „Rajska jabłoń"*), ukazał się świeżo i stał się jedną z najcenniejszych pozycyj tegorocznego sezonu wydawniczego.

W moim osobistym wrażeniu, jeśli „Rajska jabłoń" nie zawsze dorównywa malarskim kolorytem świetnym obrazom rozwoju młodych dziewczęcych latorośli z proletariacko-drobnomieszczańskiej sfery przedwojennej Warszawy (w „Dziewczętach"), posiada tę samą przejmującą prostotę środków artystycznych, a przewyższa pierwszą część cyklu i bogactwem sytuacyj i zasięgiem akcji.

Przede wszystkim jednak uderza znakomitym rozwinięciem tkwiących w charakterach bohaterek możliwości — które tu, u dojrzałych już kobiet, pęcznieją w pełnię już wyraźnych osobowości. W powieści, rozgrywającej się już w odrodzonej Polsce, spotykamy dawne znajome, ludzkie poczwarki, przekształcone nie koniecznie w motyle — jakby tego wymagał szablon reportersko-lirycznych porównań: w kobiety, których osadzenie się w życiu małżeńsko-rodzinnym nie jest ostateczną, skończoną formą, ich i fizycznego i uczuciowego bytowania.

Gojawiczyńska, pisarka nowoczesna, a więc śmiała, zawsze na realnym gruncie życia ludzkiego stojąca, patrząca oko w oko jego podstępnej srogości — nie zamknęła wrót dalszych przemian przed tymi swymi bohaterkami, które zrobiły w „Rajskiej jabłoni", t. zw. życiową karierę. Dwie piękne siostry Raczyńskie: Cechna, dziś starościna na kresach, i Amelka, żona zamożnego warszawskiego aptekarza, nie ostoją się w błogostanie dobrobytu i pozornej beztroski, w jakim je tu spotykamy. Pożycie pani aptekarzowej z niekochanym i starszawym filistrem zdradza zwalczane jeszcze przez bierność i nawyk już do wygód pęknięcia, wywołane potrzebą miłości. A Cechna pod koniec powieści już pali mosty za sobą i z córeczką Zuzanną staje, po opuszczeniu domu męża, przed niewiadomym w rodzinnej Warszawie.

Nawet Kwiryna, najenergiczniejsza z dziewcząt z Nowolipek, która zdobywa majątek, żeniąc swą energię, pracowitość i zmysł do handlu ze sknerstwem i bezwzględnością dorobkiewicza w spódnicy, raz poraz załamuje swą, tak prostą zdawałoby się linię życiową, pod przemożnymi atakami namiętności do młodego męża Romana, obcego jej żądzy zbijania grosza i robienia interesów.

Bronka Mossakowska — której autorka nawet pozornie nie stabilizowała życiowo w „Rajskiej jabłoni" — *tylko egzystuje*, nie żyje, osłaniając maską abnegacji swe wewnętrzne rozbicie; dla Bronki, uczuciowo najbogatszej z nowolipskich dziewcząt, nawet odzyskanie kontaktu z kochanym Ignasiem Piędzickim, dziś wyższym urzędnikiem Ministerstwa Pracy, żonatym z nowoczesnym, zjadliwie potraktowanym typem „towarzyskiej społecznicy, model 1925", nie jest odzyskaniem psychicznego zdrowia. Niemoc miłosna tej dziewczyny jest jednym z najmniej rzucających się w oczy, a najpiękniejszych osiągnięć pisarskich Gojawiczyńskiej, świadczącym zarazem o głębi kobiecości tego, w formie, tak męskiego pióra.

Jeśli chodzi o siłę plastyki i mistrzostwo *w osadzeniu postaci w środowisku* — na czoło wybija się niezrównana Kwiryna, właścicielka zamożnego kolonialnego sklepu, kamienicy i młodego męża w „Rajskiej jabłoni". Autorka rozpoczyna powieść deklaracją: „Nowa Kwiryna przyszła na świat jesienią dwudziestego drugiego roku". Ale korzeniami swej psychiki tkwi ona, moim zdaniem, *najmocniej* ze wszystkich bohaterek tam, na Nowolipkach, w mrocznym sklepiku, koszmarnych Tułubów. In potentia, jest tam już cała: tu tylko rozwinęła wspaniale swe bujne możliwości twardego charakteru, siły woli i jędrnej zmysłowości.

Gojawiczyńska, zdawałoby się, nie ma poczucia humoru. Jakże przeczy temu złudzeniu stara nasza znajoma, kapitalna mama Raczyńska, krzątająca się teraz po domu aptekarzy, gdzie wisi bezterminowo z dwiema najmłodszymi, Helcią i Felcią (w oficynce, ale tuż, tuż — koło żłobu zięcia). Ta się nic nie zmieniła. Zmieniły się tylko przedmioty zdziwienia tej chytrze zabiegliwej „matki dzieciom", tej układnej kołtunki, umysłowo stojącej jakieś dziesięć stopni poniżej zera.

Na str. 228 mówi do Amelki: „Filip myśli, że ty pytasz o muzykę i ten wynalazek... jakże tam? Radio... Rzeczywiście, że do podziwu, żeby raptem chwytać żywe głosy i z czego? — Z powietrza!... Dlaczego je gołem uchem nie słyszę?"...

Mamę Raczyńską stawiam, jako typ, obok nieśmiertelnego aptekarza Homais z „Pani Bovary" Flauberta. A w naszej literaturze powinna ona zająć co najmniej takie miejsce, jakie zajęła pani Dulska Zapolskiej.

Niech te słowa będą — zamiast wytartych epitetów — wyrazem mego podziwu.

W. Rogowicz.

*) *Pola Gojawiczyńska*: Rajska jabłoń. Warszawa 1937 Tow. Wyd. „Rój". Str. 269.

ZNAKI CZASU.

Henryk Ford, król samochodu, pisząc książki ku swej chwale, nigdy o sobie nie wyraża się inaczej, tylko: „robotnik". O swoim zaś przedsiębiorstwie mówi: „służba dla dobra powszechnego".

Podobnie Janusz Radziwiłł, zabierając głos w Senacie, rekomenduje się stale, jako „rolnik".

Poco ta maskarada?

Czyżby tytuł magnata przemysłu lub właściciela ordynacji był tak w opinii społecznej zszargany, że go lepiej ukryć pod bluzą robotniczą lub pod chłopską sukmaną rolnika?

SYNOWIE CHŁOPSCY W MAŁPICH OBJĘCIACH

Ostatnie ćwierćwiecze minionego stulecia było jednocześnie pierwszym, które w Polsce*) synom chłopstwa, wyzwolonego z jarzma pańszczyzny, otworzyło dostęp — zresztą, niesłychanie skromny — do szkół, a przez szkoły do miasta, do szeregów inteligencji, do grona wolnych zawodów.

Jakież przyjęcie tym pierwszym latoroślom gleby chłopskiej zgotowano w nowym środowisku?

Powszechny zarzut, jaki zaciążył na przybyszach ze wsi, wydźwigających się ponad niskie progi swych ojców, polega, jak wiadomo, na tym, że... kłamią, że bywają obłudni, skryci i fałszywi. Zarzut taki wydać się może dziwny, gdy jest skierowany w mieście przeciw przybyszom ze wsi chłopskiej; dziwny zwłaszcza w ustach rdzennego mieszczucha, którego życie całe uwikłane bywa w sieć stosunków, zmuszających go na każdym kroku do kupczenia swą pracą, swą zdolnością i wiedzą, swą myślą i swoją osobą. Niemniej wszakże tłumaczy się, jeśli nie usprawiedliwia, faktem, że kłamstwo, narzucone synom chłopskim, było typem kłamstwa zupełnie odrębnym od fałszu, w jakim żyła i wychowywała się w miastach inteligencja, pochodząca ze zrujnowanych dworów szlacheckich. Ta ostatnia, wzamian za upokorzenia, ponoszone pod kapitalistyczną tyranią pieniądza, której zmuszona była zaprzedać się i wysługiwać, chełpliwie na bruku miejskim piastowała swe dawne koligacje rodowe i herbowe. Niejeden aplikant adwokacki, lub nawet wzięty mecenas, obijając podłogi w poczekalni bankierów i przemysłowców, czuł się wywyższony na duchu, gdy mógł wspomnieć o babce kasztelanicowej, lub dziadku, który przepił dobra pod Nieświeżem lub Łańcutem. Ta osłoda wspomnień była jednym z głównych źródeł kredytu, którym inteligencja szlachecka pokrywała niedobory smutnej swej teraźniejszości. Z tych potrzeb rekompensaty, z tego głodu iluzji pokrzepiającej, czyż nie wyrosła olbrzymia popularność Sienkiewicza, usiłującego przepychem dawnych karmazynów przesłonić nędzę i niewolę spauperyzowanej szlachty współczesnej?

Lecz jeśli inteligent pochodzenia szlacheckiego mógł swej doli obecnej przeciwstawić portrety przodków, zawieszone w gabinecie swej pracy, to na cóż powołać się miał prawo młody chłop, osiadły w mieście i na nowym polu stający do wyścigu zawodowego? Czy na batożone plecy swego ojca, który niegdyś odbywał jeszcze pańszczyznę? Ależ sam widok ojca-chłopa, włościjanina w zgrzebnym ubraniu, byłby w tym wielkomiejskim środowisku równoznaczny ze złamaniem kariery syna na samym jej wstępie. Przyznać się do pasania bydła? Znaczyłoby to tyleż, co przyznać się do młodości, splamionej niezatartą hańbą; co wydać resztę życia na łup szyderczych dwuznaczników i jadowitych drwin. Nie! Synowi chłopskiemu, gdy zdobył wykształcenie, pod karą wyobcowania ze środowiska wybranych i uprzywilejowanych, nie wolno było pokazać swej rodziny. Musiał on trzymać ją za parawanem. Musiał łgać i lawirować, aby wejść w stosunki i aby się na ich powierzchni utrzymać.

Imć pan Władysław Studnicki, sam potomek skrachowanej szlachty inflanckiej, znany z tego, że głośno wypowiada to, co inni po cichu myślą, przeciwstawił się gdzieś nadmiernemu napływowi dziatwy chłopskiej do gimnazjów i uniwersytetów, powodowany obawą, że napływ taki obniża poziom kultury: jego zdaniem, mózg włościjanina jest surowcem, który nie odrazu poddaje się wymaganiom mieszczańsko-inteligenckiej gimnastyki. Niech-że się pocieszy i rozproszy troski z zafrasowanego czoła: chłopi gimnastykę inteligencką opanowali tak szybko, że nauczyli się kłamać nie gorzej od swych mistrzów, a nawet, gdy zachodziła potrzeba, potrafili łgać w dwójnasób.

Asymilacja na tym polu następowała tym raźniej, że matka częstokroć bywała szlachcianką, ojciec zaś bywał właścicielem sporego gospodarstwa: synowi takiego mięszanego stadła i drobnej zagrody łatwiej było splątać nici „heraldyczne" i wypozować się na małego ziemianina. O przymusowym załgiwaniu się chłopów, przenikających do inteligencji, wyraźnie pisze również z osobistych swych wspomnień gimnazjalnych Paweł Sobolewski („Agronomia Społeczna", nr. 8-9, r. 1935). Trafnie stwierdzając zjawisko, nie rozumie on wszakże jego genezy i błędnie przypisuje je wyłącznie górującej nad chłopami obyczajowej kulturze mieszczańskiej. Ta błędna diagnoza zaobserwowanego zjawiska uniemożliwiła mu, rzecz prosta, wskazanie właściwych środków zaradczych.

Zawiść i pustka duchowa obszarników, pod których przewodem kształciło się mieszczaństwo, narzucały, jak widzimy, sieci na inteligencję, ta zaś z kolei oddziaływała na chłopów, napływających ze wsi. **Chłopi ci, osiadając w mieście, byli straceni dla swej warstwy macierzystej.** Zamiast być dźwignią i drożdżami wsi, stawali się dorobkiewiczami miasta. Wyjaławiali z sił umysłowych swe środowisko rodzime, a na nowej arenie rozwinąć mogli tylko te pierwiastki, których wymagała walka konkurencyjna, żądza wyniesienia się i zdobycia stanowiska.

Oderwany od pnia swego żywiołu chłop-inteligent na bruku miejskim wysychał moralnie, wyrodniał społecznie, zamierał duchowo. Stawał się — jak ktoś trafnie powiedział — obiuczonym manierami osłem pośród takich-że swoich mistrzów i profesorów z najbliższego otocza.

A wieś? Jak żyła wieś w tym długim, brzemiennym wypadkami okresie obejmującym całe dwa pokolenia i sięgającym od pierwszych dziesięcioleci doby po-pańszczyźnianej aż po pierwsze lata odzyskanej niepodległości? Wieś chłopska osłabiana odpływem swych najzdolniejszych a beznadziejnie marnowanych jednostek, cofnęła się, jak ślimak w skorupę, w głąb swej bezdziejowej wegetacji i zasklepiła się we własnym kojcu. Ponieważ jedyną księgą historii, dostępną dla chłopa, była przez długi czas księga jego własnej zawszonej skóry, garbowanej bądź kijem ekonoma dworskiego bądź drwinami panów i łyków miejskich, więc z tej okrutnej lektury jakąż wynieść mógł wiedzę o świecie, jaką wiedzę o Polsce i o swej własnej w niej roli? **Był w ojczyźnie swojej pasierbem i czuć się mógł tylko pasierbem, zepchniętym na najniższy szczebel drabiny społecznej.** Słyszał na odpustach kościelnych i patriotycznych, że nazywano go

*) Mowa tu, oczywiście, przede wszystkim o Polsce pod zaborem rosyjskim.

„żywicielem narodu", lecz nazwę tę, w zestawieniu z warunkami swego bytu, rozumiał w tym znaczeniu, w jakim sam mówił o własnej krowie lub szkapie, jako o „żywicielkach" swych dzieci. Z tej goryczy odosobnienia, z tego poczucia obcości we własnym narodzie, lęgły się w duszy chłopa pokusy i wdzięczności dla cesarzy — zaborców: owe ponure legendy, których mrok był najtragiczniejszym mrokiem naszej niewoli w duszach zaborców, najtragiczniejszą potym zaporą na drodze odrodzenia po odzyskaniu niepodległości.

Przepaść, która dzieli chłopstwo od warstw, dziedziczących tradycję i kulturę przeszłości, nigdzie bodaj, poza dawną Rosją i współczesną Hiszpanią, nie jest i nie była tak głęboka, jak w Polsce. Ażeby wyjaśnić przyczyny które tę przepaść wykopały, trzebaby napisać nanowo cały szmat dziejów polskich, poczynając od Wazów, być może od Jagiellończyków, pod których berłem szlachta zadała pierwszy cios mieszczaństwu, a jednocześnie wyzuła z ziemi i ujarzmiła chłopa. Niedorozwój a potym i zupełna ruina stanu trzeciego w Polsce przy stałej przewadze zaśniedziałego kleru i wysokiej liczebności Żydów, nie pozwoliły na wytworzenie się tego ogniwa, które w innych krajach było łącznikiem między wsią a miastem, między stanową demokracją szlachecką a nowoczesną demokracją liberalną.

Nie jeden raz i nie w jednym pokoleniu — od Kołłątaja i Staszica do ministra Lubeckiego, od ery Lubeckiego do ery pozytywizmu — pojawiały się w Polsce umysły i grupy umysłów, które, zdając sobie sprawę z tego organicznego niedoboru w naszym układzie warstwowym, próbowały na drodze celowego wysiłku nawiązać to, czego nie nawiązały dzieje w drodze samorzutnej. Próby te, w sposób mniej lub więcej konkretny, wyrażały się zawsze w dążeniu do stworzenia mieszczańskiej partii liberalno-demokratycznej. Zawsze, niestety, kończyły się niepowodzeniem. Ostatnie z tych prób i niepowodzeń rozegrały się już na naszych oczach w postaci usiłowań de Rosseta, a później Kazimierza Bartla i Stanisława Thugutta, którzy — jeszcze 10 czy 12 lat temu — kusili się o stworzenie t. zw. Partii Pracy.

Partia ta, jak wiadomo, rozbiła się a raczej ugrzęzła na mieliźnie już u wstępu swej działalności. Czy jednak działacze, którzy ją kleili, zrozumieli przyczyny swego fiaska? Piszący te słowa zachował z tamtych czasów jedno doświadczenie, które oczywiście nie wyczerpuje i nie rozwiązuje treści zagadnienia, niemniej wszakże rzuca na nią światło niezmiernie charakterystyczne. Chodziło — pamiętam — o przygotowanie licznego zgromadzenia organizacyjnego dla jednego z wybitnych prelegentów „Partii Pracy". Słuchacze, zachęceni wymowną propagandą, istotnie stawili się gromadnie i wypełnili po brzegi wykwintną salę, przepisowymi oklaskami nagradzając mówcę na początku i na końcu jego wywodów. Ale szlachetny ten mówca prawdopodobnie po dzień dzisiejszy nie zdaje sobie sprawy, dlaczego był oklaskiwany i — dlaczego z tych oklasków nic nie pozostało? Nie wiedział on i wiedzieć nie chciał czy nie mógł, że ta rzesza ubogich duchem, ta rzekomo radykalna inteligencja, na której oprzeć się musiała „Partia Pracy" stawiła się na zebranie **tylko dlatego, że odbywało się ono w salonach osoby, postawionej bardzo wysoko w hierarchii społecznej:** w salonach, do których zwykle nikt jej nie zapraszał i bez urzędowej potrzeby nawet nie przyjmował. Co słuchacze tacy, po wyjściu z pańskich salonów mówili między sobą w intymnej ciszy zaufania? Nietrudno się domyśleć: motyw dekoracji zewnętrznej, wrażenie ceremoniału, w jakim wzięli udział, górowały nad treścią prelekcji, nad domniemaną ideologią grupy. **Ci których zamierzano wezwać do szeregów Partii Pracy, byli ludźmi zdolnymi i gotowymi jedynie do werbunku kariery.**

I czyż mogli być inni?

Zbyt długo nad ich głowami ciążyła dławiąca pustka publicznego życia, spustoszonego przez obszarnictwo, ogłupionego przez plebs mieszczański, zamroczonego przez obskurantyzm i despotyzm kleru. Nie znalazło się w Polsce miejsca na stronnictwo, podobne radykałom francuskim, mogące służyć za pomost ewolucyjny między inteligencją chłopską a kulturą wiejską. Gdy był czas na tworzenie podobnych ugrupowań, nie starczyło niezbędnej ku temu energii. Gdy napłynęła energia, okazało się, że na próby tego rodzaju jest już za późno, że historia poszła naprzód i w imię nowych potrzeb woła o nowe siły i o nowe formy organizacji. *Władysław Kowalski*

POD RZĄDAMI DYKTATURY PORTUGALSKIEJ

Portugalia przypomniała się opinii demokratycznego świata swym czynnym udziałem w interwencyjnych poczynaniach państw faszystowskich w hiszpańskiej wojnie domowej. Jeśli kraj ten mógł się stać bazą wypadową krwawej reakcji hiszpańskiej, jeśli w ten sposób mógł wykorzystać swe położenie geograficzne, to dlatego, że dyktatura w Portugalii zniszczyła wszystkie organizacje robotnicze i chłopskie, że wielki kapitał rodzimy i obcy wykonywa tam niepodzielną władzę przy pomocy militarno-biurokratycznego aparatu.

Korzystając z powszechnego oburzenia opinii publicznej kraju, skierowanego przeciw panującej korupcji, grupa wojskowych zjednała sobie organizacje republikańskie, nawiązała stosunki ze związkami zawodowymi (przede wszystkim z kolejarzami) i w roku 1926 sięgnęła po władzę. Ale robotnicy źle wyszli na tym sojuszu. Organizacje ich zostały rozwiązane, przewódcy zesłani do kolonii afrykajskich. Próba rewolucyjnego odzyskania praw wolnościowych w roku 1927 nie powiodła się. Utwierdzona już w siodle władzy dyktatura związała się z klasami posiadającymi, z wielką burżuazją i z obszarnikami. Przez siedm lat jednak nie uważała za potrzebne wejść na drogę pełnego totalizmu. Dopiero rok 1933 zamyka okres „liberalny" portugalskiej dyktatury. W tym roku została wprowadzona nowa konstytucja, opierająca byt państwowy na ustroju korporacyjnym.

Korporacyjna konstytucja Portugalii stała się podstawą utworzenia organizacyj, grupujących zarówno przedsiębiorców, jak i robotników, które mają monopol zawodowej reprezentacji i są w pewnym sensie organami państwowymi. Organizacje te, wzorowane na włoskich koncepcjach korporacyjnych,

nie przysporzyły nigdy dyktaturze żadnych kłopotów. Mimo to funkcjonariusze państwowi i samorządowi nie mają prawa należenia do nich. Wierzchołek korporacyjnej konstrukcji państwa stanowi Rada Korporacyjna. Należy do niej 6 ministrów, jeden podsekretarz stanu, dwaj profesorowie uniwersytetów; brak tylko reprezentanta robotników, nawet faszysty.

Jednym z zasadniczych poczynań nowego państwa korporacyjnego było zniszczenie ubezpieczeń społecznych, które dotąd nieźle się w Portugalii rozwijały. Z początkiem 1935 roku odkryto nagle, że dotychczasowe ubezpieczenia społeczne zostały zapożyczone z zagranicy i nie odpowiadają „duchowi narodowemu" kraju. „Duch narodowy" wymaga, by system ubezpieczeń liczył się „z hierarchią gospodarczą i społeczną". W rezultacie podniesiono udział robotników w składce ubezpieczeniowej, system ubezpieczeń oparto na kasach lokalnych, świadczenia sprowadzono do poziomu jałmużny, dochodowość ubezpieczeń zniszczono. Ubezpieczenie od bezrobocia stało się fikcją; możliwość otrzymania zasiłku jest niesłychanie nikła wskutek całego systemu obostrzeń i utrudnień.

Olbrzymia większość mieszkańców kraju żyje z rolnictwa. Położenie drobnych rolników jest jednak beznadziejne. Nie zrobiono ani kroku w kierunku realizacji reformy rolnej, czy w kierunku podniesienia metod uprawy roli. Nie lepsze jest położenie stosunkowo nielicznej klasy robotniczej. Poziom płac w Portugalii był zawsze niebywale niski. Dyktatura jednak nie tylko nie zmieniła niczego na lepsze, ale przeciwnie pogorszyła sytuację proletariatu.

Dla orientacji przytoczymy kilka danych, pochodzących ze źródeł oficjalnych, a dotyczących płac robotników portugalskich z 1936 roku:

	Escudo za godzinę
Szoferzy autobusowi	2,90
Szoferzy automobilowi	2,80
Metalowcy kwalifikowani	3,00
Metalowcy niewykwalifikowani	1,80
Murarze	2,20
Drukarze	3,30
Piekarze	2,50
Elektrotechnicy kwalifikowani	3,50
Niekwalifikowani robotnicy pracujący przy instalacjach elektrycznych	2,00
Niekwalifikowani robotnicy samorząd.	1,50

Cena najgorszego chleba wynosiła w tym czasie 3,20 escudo za kilogram...

Przeciętny dochód dzienny robotnika rolnego wynosi 7,10 escudo. Kobiety zarabiają 3,20—3,70 escudo dziennie.

Nic dziwnego, że w tych warunkach nawet podsekretarz stanu w ministerstwie korporacyj musiał stwierdzić w przemówieniu wygłoszonym niedawno, że płace spadają w Portugalii systematycznie i to poniżej poziomu nawet głodowego. Jeśli po dziesięciu latach rządów musi dyktatura portugalska czynić tego rodzaju wyznanie, to wyobrazić sobie można, jak wygląda społeczna rzeczywistość tego kraju. Nie przeszkadza to oczywiście prasie sprzedajnej krajów, lokujących poważne kapitały w Portugalii, kłamliwie podtrzymywać najbardziej fantastyczne twierdzenia o „dobrobycie" panującym pod rządami tej dyktatury.

J. H.

F I L M

„SYLWETKI"

Film Waltera Reischa stanowi jaskrawy przykład tego, czym stałaby się sztuka filmowa, gdyby została w całości opanowana przez faszystów. Z obniżeniem poziomu artystycznego poszło by w parze wysunięcie na plan pierwszy funkcji polityczno-propagandowych. W produkcji austriackiej obyczajowa propaganda hitleryzmu znalazła wyraz bodaj najpełniejszy, bo najcyniczniejszy, w filmie „Sylwetki". Ciekawe, że przeznaczone na eksport filmy niemieckie nie pozwalają sobie na podobne „wyskoki" i zręcznie przyciemniają swoje oblicze „ideowe". Przecież *„Złoto"*, czy też *„Ucieczka"* Ucicky'ego (która nota bene była hitlerowską odmianą, a może nawet trawestacją *„Błękitnego Ekspressu"* Trauborga) nie była ulotką propagandową partii narodowo-socjalistycznej. Film austriacki poczuł się uprawnionym do tego, czego nie uczynił nawet film niemiecki.

Film „Sylwetki" Waltera Reischa propaguje zasadę „trzech K" (Kindern, Küche, Kirche). Każe kobiecie porzucić pracę zawodową i znaleźć całkowite szczęście wyłącznie w przyszywaniu guzików i smażeniu jajecznicy mężowi, który zresztą jest rzetelnym przygłupkiem i przez cały czas wyświetlania filmu potrafił się popisać jedynie kilkoma idiotycznymi dowcipami. Atmosfera filmu nie wskazuje na to, żeby „Sylwetki" miały być satyrą na „Drei K Prinzip", raczej jest to kiepski film, który przez paradoksalnie niski poziom artystyczny znalazł się o krok od satyry na samego siebie. To skutki austriacko-niemieckiego zbliżenia kulturalnego.

Pomimo wielkiej reklamy, film „Sylwetki" nie ma dużego powodzenia. Najlepiej byłoby, gdyby podobne „wyczyny" hitlerowskiej propagandy zniknęły raz na zawsze z polskich ekranów.

Kaz. L.

„200 — 300 AWANTURNIKÓW"

„200—300 AWANTURNIKÓW"..*)

Omawiając artykuł profesora Kotarbińskiego, wypowiada „Kurier Poranny" pogląd, „że na całym obszarze akademickiego życia stolicy nie ma więcej niż 200 lub 300 awanturników, którzy wyspecjalizowali się w przerywaniu wykładów. Tych „pałkarzy" czyni „Kurier" odpowiedzialnymi za zatrucie atmosfery wyższych uczelni i domaga się rozwiązania bojówek faszystowskich w murach uniwersyteckich.

W takim ujęciu uderza odrazu zmatowanie, złagodzenie, a nawet daleko posunięte przeinaczenie stanu faktycznego, gdyż nie o „przerywanie wykładów", nie o zakłócenie spokoju na tych wykładach, a o zupełnie coś innego chodzi młodym faszystom, zaprawianym do walk przez kierowników zorganizowanej roboty politycznej.

Minister Świętosławski nazwał to „psychicznym rozbrajaniem Polski", Premier Składkowski mówił o anarchii, ale nie

*) Przedruk z „Robotnika" — z upoważnienia autora.

uwypuklono, że jest to ubojowienie szeregów młodzieży „narodowej", tworzenie kadr, podległych karnej dyscyplinie spiskowej, — że jest to zakrojona na modłę rewolucyjną akcja stałego niepokojenia, wichrzenia, nieoczekiwanych napadów, dezorganizowania, — że jest to powolne, ale systematyczne przygotowywanie do takiego generalnego uderzenia, którego skutki odczuje nie tylko poszczególny bezbronny student, lecz i spokój społeczny Państwa.

Ta strategia, jak uczą smutne dzieje rozruchów studenckich, składa się z akcji ściśle bojowej (pałki, kastety, żyletki i t. d.) — oraz z formy specjalnego nacisku moralnego na rektorów, dziekanów, senaty i poszczególnych profesorów. Nie stanowi ona przywileju stolicy, jest stosowana na wszystkich uczelniach i dlatego należy traktować te zjawiska z punktu widzenia ogólnego bezpieczeństwa, a nie zasklepiać się w formułkach dziedzińca Uniwersytetu.

To świadome, czy też bezwiedne pomniejszanie zła, zamykanie oczu na istotę występnych czynów, łudzenie się, że tylko znikoma ilość awanturników winna być brana w rachubę, a tysiące studentów — to baranki i ofiary, — takie uproszczenie groźnej pod wszelkimi względami sytuacji musi zachęcać menerów do coraz śmielszych wystąpień, do rozszerzania pola walki, do takiej „służby narodowej", która pewnego pięknego dnia przeniesie hecę uniwersytecką na ulicę...

Demokracja polska, a w pierwszym rzędzie socjaliści stale uwydatniają ścisłą nierozerwalną łączność pomiędzy akademickim rozruchem a poczynaniami faszystowskimi i przestrzegają masy ludowe przed niebezpieczeństwem, płynącym z źródła obcego, — od strony agentur, które spoglądają radosnym okiem na nieustanne anarchizowanie naszego życia na odcinku młodzieżowym.

Należy pamiętać, że równolegle szerzy się takie same bestialstwo na terenie małych miasteczek, a przemoc fizyczna rozpanoszyła się do takiego stopnia, że zbrodnia jest gloryfikowana publicznie, — na łamach prasy „narodowej" i na posiedzeniach ciał municypalnych. Wszystko to stanowi jeden łańcuch, kuty z całą premedytacją przez barbarzyńców rodzimych, ale natchnionych ideowo przez tych, dla których szczerby w murze obronnym państwa — w duszach jego obywateli, — mają wagę nieocenioną.

Ten stan rzeczy musiał doprowadzić między innymi do takiej nieprawdopodobnej, zdawałoby się, w kulturalnym społeczeństwie sytuacji, że, jak pisze prof. Z. Szymanowski, „przeraża milczenie tych, którzy gwałty potępiają"... A stają się natomiast możliwe wsteczne wynurzenia b. marszałka Senatu Szymańskiego lub tak zwane „sprostowania" rektora Antoniewicza, — wystąpienia, które nie okryją sławą tych wychowawców młodzieży. Stają się również możliwe represje względem docenta Aleksandra Rajchmana, któdy, widząc, że „krawędź zbrodni została przekroczona", zrywa z obłudną zasadą dyskrecji, łamie przymusowe milczenie i odwołuje się do sumienia publicznego. Takie ustosunkowanie się rodziny profesorskiej do tragicznego w życiu państwowym zagadnienia jest w dużym stopniu wynikiem odwracania oczu od rzeczywistości, — od genezy i celów akcji, skierowanej pozornie w stronę żydowską, a mierzącej w porządek publiczny.

Zimna obojętność, życzliwa neutralność, mniej czy więcej ujawnione sympatie dla „haseł bojowych", nieukrywana czasami niechęć do znieważanych, wyrzucanych, bitych i rannych — oto plon odruchów, którymi nauka szczycić się nie będzie. A pogarsza tę sytuację gwałtowne szerzenie wieści o jakiejś tam drobnej garstce awanturników, o przerywaniu wykładów, o niesnaskach akademickich i t. d.

Jest to woda na młyn tych, którzy pragną wyodrębnić rewoltę studencką z ogólnej akcji faszystowskiej, by uśpić czujność demokracji, organizować się bez przeszkód, próbować sił i umiejętności na Żydach, — później dorwać się do tych wszystkich, którzy dzisiaj stoją im na przeszkodzie.

Leon Berenson.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

FÜHRER MAROKAŃSKI

Z okazji podejrzanych manewrów politycznych Rzeszy na terenie Maroka, które wywołały stanowczy i jednomyślny sprzeciw całej opinii francuskiej, ogłasza paryski *Excelsior* interesujące szczegóły o propagandzie hitlerowskiej w północnej Afryce.

Szefem tej propagandy jest bliski zaufany kanclerza Hitlera, Fritz von Langenheim. Od 1930 roku przemierza on bezustannie obszary, zamieszkałe przez szczepy dżeballa, które są trzonem tubylczej ludności marokańskiej. Hojną i „bezinteresowną" pomocą finansową zjednał sobie Abd el Selan Benunę, wielkiego wezyra strefy hiszpańskiej. Gdy Benuna traci za sprawą Francji swój wysoki urząd, Fritz von Langenheim nakłania go do utworzenia partii nacjonalistycznej w Tetuanie.

Abd el Selan Benuna otrzymuje wielkie fundusze na stworzenie narodowego przemysłu elektrycznego „Udania" oraz zakładów drukarskich.

Niemieckie konsorcjum przysyła do Maroka materiały wartości 5 milionów peset dla instalacyj elektrowni, które pozwolą tubylcom bojkotować prąd hiszpański.

Nowopowstałe trzy dzienniki arabskie „Akbar", „Hayat" i „Dżadid" propagują zbrojne powstanie nacjonalistyczne.

Władze francuskie wysiedlają wkońcu Langenheima z Tangeru. Przybywa wówczas do Maroka hiszpańskiego. Odsłania przyłbicę. Zaczyna jawnie działać.

Przekłada „Mein Kampf" na arabski, drukuje to dzieło w Tetuanie i rozdaje je w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

W ciągu kilku lat dokonał Langenheim olbrzymiego dzieła propagandy przeciwfrancuskiej.

Gdy przed dwoma laty ambasador niemiecki w Madrycie odbył podróż turystyczną po strefie hiszpańskiej, był przedmiotem entuzjastycznego przyjęcia ze strony nacjonalistów w Tetuanie. Tubylcy śpiewali... hymn narodowo-socjalistyczny, „Horst Wessel Lied", przełożony przez Langenheima na język arabski.

OSKARŻAM!

Ameryka wstrząśnięta jest rewelacjami znanego publicysty, Grey'a o niewiarygodnych praktykach, stosowanych na tak zwanych „farmach karnych". Grey ogłosił opowieść więźnia Lincolna, zwolnionego z takiej kolonii karnej. Przytaczamy fragmenty tej opowieści:

— Przeznaczono nas dwunastu do farmy Retrieve. Samochód ciężarowy o wyglądzie wozu pancernego podjechał pod wrota więzienia. Wyprowadzono nas. Wtłoczono do ciemnego, dusznego pudła.

— Podnieść głowę, wyciągnąć szyję!

Poczułem, jak wokół szyi zacisnęła się obręcz. Nogi i ręce skuto łańcuchami. Po czternastu godzinach podróży, dojechaliśmy napół uduszeni.

...Dostałem numer 1846. Wyruszyłem wraz z innymi do pracy w polu, tak zbawiennej dla ciała i duszy więźnia. Prowadził nas strażnik na koniu. W myśl regulaminu odstęp między nami a dozorcą ma być stale jednakowy. Gdy koń ruszał kłusem, musieliśmy pędzić co tchu w piersiach. Opieszałych poganiał dozorca batem lub chwytał na lasso.

...John Baley miał spuchniętą nogę w kostce. Nie mógł nadążyć za nami. Bat orał mu skórę na plecach. Wreszcie do-

zorca dopadł go i zaczął okładać pięściami po twarzy. Doprowadził do tego, że mógł nieszczęśliwego oskarżyć o złamanie dyscypliny. Baley porwał kamień. Przybiegli inni dozorcy z pałkami gumowymi. Nasz dozorca odsunął ich:

— Ten człowiek jest mój. Może sobie zamówić trumnę.

Mruknąłem coś pod nosem. Po powrocie do domu, dozorca skazał mnie na „stołeczek".

Stołeczek? To jedna z najwymyślniejszych udręk. Stołek jest wąski, krótki i niski. Trzeba na nim stać przez całą noc. Co cztery godziny — kwadrans przerwy: wolno usiąść.

Baley ze spuchniętą kostką spadł po godzinie. Ciosy bata postawiły go znów na stołek. Spadł po pół godzinie.

Nie wstał mimo razów. Przywiązano go do słupa.

— 20 batów!

Zaczęła się chłosta. Baley musiał sam liczyć. Po dwunastym uderzeniu stracił przytomność.

...Raymond Hall przeszedł przez „skrzynię potu": skrzynię w kształcie trumny. Skazańca wystawia się na słońce, które w Retrieve jest mordercze. Po tym skazano Halla na „pikietę": słup z poprzeczką, na której zawieszono go za ręce.

W końcu Hall zbiegł. Dozorca zorientował się trochę za późno, bo odrazu położyłby go trupem, do czego oddawna dążył. Wypuszczono pościgowe „krwawe psy". Hall schronił się na drzewie. Nadjechał dozorca na koniu.

— Zejdź, bo strzelam!

Hall nie zwlekał. Wiedział, że zaraz rozlegnie się strzał. Ześliznął się jeszcze przed ostrzeżeniem. Część ładunku śrutu utkwiła mu w szyi. Został zawleczony za koniem do domu. Dostał 15 batów.

— Będę miał jego głowę innym razem — rzekł dozorca.

Przeliczył się. Przybyła komisja. Hall ocalał. John Baley również uniknął śmierci. W chorej nodze wylęgła się gangrena. Przeniesiono Baleya do szpitala.

...Sukces Baleya skłonił innych do wzajemnego zadawania sobie ran, by wydostać się z piekła. Leyte i Bradley posiekli sobie nogi siekierami. Napróżno. Ukryto ich. Dopiero po paru tygodniach, podczas nieoczekiwanej wizyty inspektora, wykryło się wszystko. Wszystkich dozorców zmieniono.

...Pracowałem, jak szaleniec, przy żniwiarce. Za jakieś słowo, wypowiedziane podczas pracy, spadł na mnie bat. Straciłem tempo i ręka dostała się w tryby maszyny. Temu wypadkowi zawdzięczam zwolnienie.

— Nie próbuj nawet dochodzić odszkodowania — pożegnał mnie naczelnik. — Nasi dozorcy umieją zeznawać przed sądem. Pamiętaj!

Pamiętam o tym. I dlatego zamiast skargi do sądu, wnoszę tę skargę przed sąd wyższy: przed trybunał całej wolnej Ameryki, która nie wie, jakie plamy hańbią jej gwiaździsty sztandar.

***

Śledztwo specjalnej komisji potwierdziło zupełnie oskarżenie H. Lincolna, więźnia Nr. 1846.

W POSZUKIWANIU WOLNOŚCI.

W jasny dzień szukał Diogenes z latarnią w ręku — człowieka.

W lat stopięćdziesiąt bez mała po proklamowaniu swobód i praw obywatelskich przez Wielką Rewolucję Francuską podjął znany pisarz, Roland Dorgelès podróż po Europie... w poszukiwaniu wolności. Zwiedził przede wszystkim kraje, pretendujące do miana „ustrojów przyszłości": Włochy i Niemcy.

Jaki jest plon podróży Dorgelès'a? Oto wyjątki z relacji pisarza.

Z pobytu w Rzymie:

— Wieczór spędziłem w podziemiach Taverne Ulpia, by posłuchać gitarzysty, który półgłosem nuci stare melodie włoskie... Naraz muzyka intonuje „Giovinezzę" i zebrana młodzież studencka śpiewa:

„Młodości! młodości!
Wiosno piękności
Faszyzm jest ocaleniem
Naszej wolności...

Wolność! Wołają: wolność! Z jakim zapałem! Widać wierzą w swe słowa. Czegóż zresztą chcieć od tych, których ponosi młodość dwudziestu lat. Kajdany nie ciążą u nóg. By tęsknić za wolnością, trzeba ją przynajmniej znać. To pokolenie urodziło się bez niej.

Od dzieciństwa, na ławie szkolnej i w szeregach „Ballila", do których wstępuje się w wieku sześciu lat, uczono ich, że wielkość i dobro spoczywają tylko i jedynie w faszyzmie. Tego rana miałem w rękach podręcznik dla trzeciej klasy elementarnej, wydany przez państwo i obowiązujący we wszystkich szkołach. Dzieci uczą się z niej, że na literę M zaczyna się zarazem Matka i Mussolini.

Pierwsza dewiza od dzieciństwa: „Słuchać i być posłusznym". Pierwsza piosenka: „Zwyciężyć lub umrzeć... z nożem w zębach i bombą w ręku".

Na posągu Wiktora Emanuela II, górującym nad placem, gdzie Duce wygłasza swe mowy, widnieją złote słowa napisu: „Civum libertati". Pewnej niedzieli, wśród tłumu, pod sławnym balkonem, spoglądałem kolejno na Mussoliniego i na ten napis. Byłem jedyny wśród tych „obywateli", zdziwionych tym sąsiedztwem.

— Ba! wolność? można bez niej się obejść — oznajmił mi na tym placu członek Wielkiej Rady.

Czy korzysta się we Włoszech z wolności myśli? Nie. Z wolności prasy? Nie. Z wolności zrzeszeń? Nie.

Dyscyplina wyruszyła na podbój wszystkich dziedzin życia i dziś wszystko jest faszystowskie. Profesorowie na katedrze czy sędziowie w przybytkach Temidy są tylko narzędziami partii. Trzeba być faszystą zanim jest się historykiem czy urzędnikiem.

...Wszędzie i zawsze czuwa się nad „obywatelem". Milicja fazsystowska drogowa, milicja faszystowska kolejowa, milicja faszystowska leśna, milicja faszystowska portowa, milicja faszystowska celna... Nie ma ani jednej instytucji publicznej, w której obok wykwalifikowanego urzędnika nieczuwałby nieodstępny towarzysz w czarnej koszuli.

Czarne koszule na poczcie, czarne koszule w finansach, czarne koszule w policji. Nawet w Akademii, gdzie „Capo del Governo" narzuca swych kandydatów.

Olbrzymia sieć oplata kraj.

„Wrogowie reżymu są na wygnaniu lub w więzieniu. „Ovra", tajna policja, która jest we Włoszech tym, czym „Gestapo" w Niemczech — nie czeka, aż przeciwnicy zamanifestują swą wrogość. Wystarczy najsłabsze podejrzenie, by osadzić kogoś za kratami. W więzieniu Regina Caeli przebywają niewinni, nie wiedząc nawet, o co są oskarżeni. Więzienie to, otoczone legendami, wznosi się nad Tybrem. Wiodący tam most nosi — przez okrutną ironię — imię Giuseppe Mazziniego, wielkiego spiskowca, który dziś znajdowałby się w celi więziennej, gdyby żył.

Z pobytu w Niemczech:

— Poco tu przybyłem?

Szukam wolnych ludzi. Lecz czy można znaleźć ich w koszarach?

Poczułem się straszliwie samotny. Feldfeble w szarych mundurach, jak ci z 1914 roku... Oficerowie cesarscy z krzyżami żelaznymi na piersiach... Żołnierze, żołnierze, żołnierze... A kominy fabryk dymią i eskadry warczą pod niebem.

Czy pewnego dnia dokona się zbrodnia? Nie chcę w to wierzyć. Zaciskam w rozpaczy pięści i powtarzam, że nie wolno... Nie wolno, ponieważ nowa wojna będzie ruiną Europy, nie wolno, ponieważ zwycięzca legnie na trupie zwyciężonego, nie wolno, ponieważ cywilizacja runie w gruzy".

„DO WIĘZIENIA..."

„Dziennik Popularny" w rubryce „Chłopi piszą" zamieścił list Władysława Kaczmarka, drobnego rolnika we wsi Katarzynów pod Koluszkami.

Podajemy wyjątek z tego listu:

„Wczoraj odwiedził nas proboszcz po kolędzie, a gdy zobaczył na stole zamiast serwety „Dziennik popularny" i grubymi literami widniał napis „prawda o Hiszpanii" zapytał ostro, skąd to masz. Ja się tłomaczę, że co prawda to trudno dostać te gazete, ale od czasu — do czasu to sobie na ten luksus pozwalam. Co? ksiądz mówi, że to jest gazeta komunistyczna? że ją wydaje związek nauczycieli bezbożników? być może, bo to chłop na wsi nie wiele coprawda rozumie, ale mam i inne, bo to prosze księdza nie szkodzi jak się wszystkiego potrochu poczyta, i pokazuje stare gazety „Epoki", „Nowy ustrój" „Zielony sztandar". Opuszczając dom mój w nie bardzo dobrym humorze obiecując mi, że się dostane do więzienia"

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu K. Dz. w Wilnie: Numery okazowe wysłaliśmy. Dziękujemy.

Panu W. W. w Lipnie: Jesteśmy Panu mocno obowiązani.

Pani P. Ch. w Bydgoszczy: Rzecz słuszna i szlachetna, ale ujęcie jest niepublicystyczne i do „Epoki" nie nadaje się.

Panu S. St. w Mołodecznie: Z najsilniejszym oddźwiękiem pismo spotyka się właśnie w sferze pracującej inteligencji. Zwłaszcza w mniejszych ośrodkach ona to stanowi jedyną redutę kultury i demokracji. Numery wysłaliśmy.

Panu M. F. w Sanoku: Polemika w tej sprawie jest zbyteczna, nie wiele dałaby naszym czytelnikom.

Panu St. Z .w Trzebini: Uwagi Pana są słuszne.

Panu M. H. w Rzeszowie: Za dowody pamięci i życzliwości bardzo dziękujemy.

Panu J. P. w Uścilugu: Załatwiliśmy bezzwłocznie. Dziękujemy bardzo.

Panu O. M. w Wołominie: Bliższych informacji udzielić nie możemy.

Pani J. O. w Łodzi. Do „Epoki" nie nadaje się.

Pani K. M. w Łomży: Uwagi Pani przekazaliśmy autorowi artykułu.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Julian Kędziora: Marcyna. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa 1937.

Jan Las: Cienie nad kołyską. Tow. Wyd. „Rój" Warszawa 1936.

Ladislas Farago: Palestyna na widowni. Wydawnictwo Współczesne. Warszawa 1937.

Fannie Hurst. Pięć i dziesięć. Przekład Celiny Winiewskiej. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

Leonard Frank: Towarzysze snów. Przekład M. Tarnowskiego. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

Juliusz Kaden-Bandrowski: Piłsudczycy. Wydanie nowe. Główna Księgarnia Wojskowa. Warszawa 1936.

Julian Tuwim: Lutnia Puszkina. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

A. Honora Enfield: Spółdzielczość, jej problemy i możliwości. Nakładem Związku Spółdzielni Spożywców „Społem". Warszawa 1937.

Stanisław Ziemak: Wiosna i kobieta. Opowiadania. Nakładem Polskiej Drukarni Kresowej. Grodno 1937.

Stanisław Piotrowski: Żona albo korona. Warszawa 1937.

Ludwik Szczepański: Cuda współczesne. Nakładem Wydawnictwa „Natura i Kultura". Skład główny w Księgarni Powszechnej. Kraków 1937.

Wacław Berent: Diogenes w kontuszu. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1937.

Michał Rusinek: Pluton z dzikiej łąki. Powieść. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1937.

D. Mereżkowski: Jezus nieznany. Przełożył J. Horzelski. Nakładem Powszechnej Spółki Wydawniczej „Płomień". Warszawa 1937.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie prenumeraty za kwartał bieżący

CZYTAJCIE i PRENUMERUJCIE

„EPOKĘ"

można zaabonować telefonicznie

TELEFON 2-13-90

EPOKĘ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3489 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.